

Dziś w numerze: ● **Optymistyczny rekonesans** ● **Brygada** ● **Książka roku 67**  
● **Pięć nocy i sześć dni...** ● **Trajdos** ● **Wiersze** ● **Felietony** ● **Recenzje**

Wpisano do kontroli periodyków  
2 Rejonowej Bibliotek Publicznej  
Łódź - Widzew

Dn. 8. 10 1968

# odgłosy



6 (536)  
II. II. 1968 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



ZOFIA LIBISZOWSKA

## U grobu Danteo

Ravenna. Sama nazwa brzmi urzekająco i dźwięcznie; wywołuje moc skojarzeń historycznych. Postanawiamy włączyć ją do programu naszej włoskiej peregrynacji. Ale Ravenna leży opodal wielkiego szlaku turystycznego, omija ją również główna linia kolejowa.

Trzeba tu dojechać pociągiem lokalnym wiedzionym przez starożytecki parowozik. Niewiele hoteli czeka tu na turystę, odczuwa się też dotkliwie brak restauracji. Natomiast liczne kawiarenki i bary rozsiadły się na centralnym, otoczonym renesansowymi arkadami Placu del Popolo, jedynym wesołym i ruchliwym punkcie tego miasta. Inne rozległe ulice zioną pustką, ciszą, marazmem. Nie wiem gdzie podzielił się ich mieszkańcy. Mimo wszystko Ravenna liczy ich dziś przeszło 120 tysięcy. Wśród rządów parterowych lub piętrowych, nieciekawych przeważnie zabudowań, tym większe wrażenie robią na turystyce rozsiane po mieście pomniki jego wielkości, która upłynęła przed wiekami.

Gdy w roku 1321 wygnany z rodzinnej Florencji Dante Alighieri kończył w Ravello swój tułaczy żywot, miasto to było już tylko cieniem swej dawnej świetności. Rozpoczęła się ona u styku dwu epok starożytności i średniowiecza i obejmowała kolejne trzy fazy jego dziejów. Tutaj ostatni władcy upadającego cesarstwa rzymskiego przenieśli czasowo swą siedzibę (402 r.), z kolei zaś wódz Ostrogotów, Teodoryk Wielki uczynił ją alternatywnie z Weroną stolicą założonego przez siebie królestwa. Gdy zaś po jego upadku wodzowie bizantyjscy Narses i Belizariusz w zwycięskim rajdzie odzyskali dla cesarstwa wschodniego szmat Italii, Ravenna stała się stolicą założonego tu exarchatu (540 r.). Była więc najznamienitszym miastem na półwyspie, miastem zdobionym przez swych władców, wzbogaconym wymianą między Wschodem i Zachodem. W jego murach, świątyniach i budowlach świeckich krzyżowały się, spotykały i spletały w zadziwiającej, monumentalnej harmonii elementy dwu kręgów kulturowych, kładąc na nich swe trwałe znamię i nadając miastu całkowicie swoisty i niepowtarzalny charakter, jakże odmienny od innych miast włoskich.

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## TRAJDOS

(Z PAMIĘTNIKA PIOTRA N.)

Normalnie, okaleczeni muzycy rzępolą na chodniku z czapką między nogami. Ale Trajdos, ślepy har-

monista, wywalczył sobie kąt w restauracji „Pod Mamutem”. Była to licha knajpa przy głównej ulicy, mroczna i zachlapana piwem; Trajdos grywał tu solo wieczorami za stopkę wódki i parę nędznych groszy, a skąd zjawiał się w Łodzi, nie wiedział nikt.

Przychodzili różni klezmerzy żeby go słuchać. Zygzak, Monej, jeszcze inni, najlepsi w mieście przychodzili, więc z biegiem czasu w knajpie „Pod Mamutem” wyklarowała się jakby gielda muzyków i Trajdos prze stał grać szmoncesy, ckiwe kawałki pod zabuzowanych gości.

Rozpoczął jazzowanie. Szczerze mówiąc: nie przepadam za akordeonem w jazzie. Ale

Trajdosa mogłem słuchać godzinami. Nie stosował chamskich zagrywek z lewej ręki, tych wszystkich um pa pa, um pa pa, jeśli zaś chodzi o prawa, to miał wspaniałą technikę i zawsze wrzucał właściwy register.

Trajdos przychodził do „Mamuta” z psem. Stara, wyleniata wilczyca o zaropiałych oczach i ociekającym pysku leżała bez ruchu przy krześle, na którym grywał we wnęce pomiędzy szatnią a toaletami, i patrzyła zachwyconym wzrokiem na lśniący purpurowy okład Trajdosowej kataryny. Lu biła słuchać jak Trajdos gra ale nie lubiła kiedy pił; opuszczała wówczas ogromny łeb i tylko zezowała ukradkiem czy ktoś przypadkiem nie robi mu krzywdy.

A pił Trajdos dużo i bardzo dziwnie. Najprzód obwąchiwał kieliszek, potem zgarbiał trochę na język, niby kot i dopiero... siup!

Nieraz chłopaki pytali:  
— Czemu ty, Trajdos, tak pijesz?  
— A tak — odpowiadał wstydliwie tea

olbrzymi, wyłuskał chłop i uśmiechał się blade szparami pustych oczu.

O kalectwie Trajdosa krążyło wiele różnych plotek: to mu cegła spadła na głowę rażąc nerw wzrokowy, to znów zapalenie opon mózgowych, dziedziczna kiła i jeszcze inne wersje. Dopiero przed Bożym Narodzeniem dowiedzieliśmy się prawdy. Przyjechał z Katowice Trajdos brat, muzyk. Po piłismv trochę, i powiedział:

— Trajdos na zabawie w kopalni „Kleofas” obcagnał z jednym górniczkim pół litra metylu. Górniczek wypił więcej i odjechał, a Trajdosa lekarze odratowali na ślepa. Ale został mu uraz i dlatego tak obwąchuje, smakuje gorzałkę językiem.

Ten brat mówił jeszcze, że Trajdosowi kalectwo wyszło na dobre, bo przedtem nie grał tak pięknie i uczuciowo. Może to i

Dalszy ciąg na str. 10



Bieżącego przeglądu wydarzeń nie można nie rozpocząć od sytuacji w Wietnamie. To, co bowiem dla nas było jasne od samego początku interwencji amerykańskiej, teraz stało się zrozumiałe dla większości zachodnich komentatorów: w Wietnamie nigdy nie może być wojkowego rozwiązania dla Stanów Zjednoczonych. Do takiej zmiany stanowiska przyczyniła się trwająca od kilku dni na dużą, właściwie niespotykaną jeszcze skalę, ofensywa wojsk Frontu Wyzwolenia Narodowego. Podjęto skuteczne obciążenie bazy amerykańskiej Khe Sanh w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej, przeprowadzono ataki na 64 miasta, wiele z nich zdobywając, i 24 amerykańskie bazy; zaatakowano, przez 7 godzin panując nad sytuacją, ambasadę USA w Sajgonie... A wszystko to zaledwie w kilkanaście dni po optymistycznej ocenie sytuacji militarnej Stanów Zjednoczonych, dokonanej przez prezydenta Johnsona w jego oświadczeniu „O stanie państwa”.

Rzecz przy tym charakterystyczna — wieść agencji amerykańskich podkreśla, że dowództwo wojskowe w Wietnamie ucale nie zostało zaskoczone, ponieważ wywiad USA sygnalizował tę ofensywę. Zarządzono nawet stan alarmowy. — Co by było — pytają w związku z tym niektóre gazety amerykańskie — gdyby nasze wojska rzeczywiście zostały zaskoczone?

Ofensywa Frontu Wyzwolenia Narodowego zdumiała świat. Jeśli jest to możliwe wówczas, kiedy — nawet według pomniejszych danych Waszyngtonu — w Wietnamie bierze udział ponad 455 tys. żołnierzy amerykańskich, 3.100 helikopterów, prawie 1.000 samolotów, które w ciągu miesiąca dokonują ponad 23 tysięcy nalożów, a reżim południowowietnamski utrzymuje pod bronią ok. 750 tysięcy żołnierzy — znaczy to, że Stany Zjednoczone nie mogą tej wojny wygrać. „Sukcesy komunistyczne — pisze „New York Times” — stawiają pod znakiem zapytania ścisłość ostatnich urzędowych tez amerykańskich o postępie na odcinku działań wojennych i „pacyfikacji”, podważają ufność w skuteczność sojuszniczej strategii wojskowej i politycznej oraz stawiają szereg poważnych pytań na temat kompetencji rządu południowowietnamskiego i jego sił zbrojnych, na których spoczywała odpowiedzialność za obronę miast”.

Jeszcze wyraźniej pisze np. londyński „Financial Times”: „Wielcego nadwerżył poważnie zaufanie Amerykanów, iż administracja Johnsona zdolna jest doprowadzić wojnę w Wietnamie do zwycięskiego końca...”.

Tak więc dzięki tym skutecznym atakom partyzantów, niektórzy komentatorzy odkryli teraz... oczywiście prawdę. I jeśli nawet amerykańskim wojskom interwencyjnym, przy dużej mobilizacji sił i środków, uda się odzyskać część z utraconych pozycji wojskowych — w którym nie może to już wpłynąć na zmianę oceny sytuacji wietnamskiej. Skutki ofensywy są bowiem nieodwracalne: skompromitowano amerykańską strategię, obnażono militarną słabość USA w Wietnamie, udowodniono, jak złudne i bezpodstawne są rachuby Waszyngtonu na rozstrzygnięcia przy pomocy oręża.

Skonsternowanie Białego Domu i Pentagonu, o którym donoszą korespondenci ze Stanów Zjednoczonych, nie oznacza oczywiście, że zmieni się wietnamska polityka. USA. Sądząc po ostatnich wypowiedziach — np. Johnsona, McNamary — administracja zamierza raczej trwać przy swoim. Wielu Amerykanów wie już jednak na pewno, że jest to po prostu zwykły upór, i że na tej drodze nie ma perspektyw.

W czasie, kiedy wszyscy spoglądali na Wietnam, rozegrał się ważny epizod konfliktu bliskowschodniego. Izrael zaatakował statki egipskich udaremnił próby uwolnienia 15 okrętów ośmiu bander, wziętych od czerwca ub. roku na Kanale Sueskim. Przygotowania do tej operacji, o czym zresztą pisaliśmy, trwały od dawna i poprzedzone były długimi zabiegami dyplomatycznymi. Ale właśnie wówczas, gdy wydawało się, iż zabiegi m. in. specjalnego wysłannika ONZ — amb. Jarringa, przyniosą rezultaty, Izrael je zniweczył. Statki ZRA pod ogniem kul zmuszone zostały do powrotu do swych baz. W związku z tym — pisze kairski „Ahran” — okręty pozostaną na Kanale aż do momentu całkowitego uregulowania konfliktu i ponownego otwarcia Kanalu dla żeglugi.

Z tej wypowiedzi można wnioskować, że ZRA zamierza starać i sprawę uważa za zamkniętą bez względu na dalsze kroki podejmowane przez Jarringa.

Czy rzeczywiście jeszcze przed rozwiązaniem problemu bliskowschodniego nie uda się ponownie próby odblokowania statków — trudno z pewnością stwierdzić. Być może stworzyłyby się takie możliwości, ale po gwarancjach Izraela, że nie będzie interweniował, i to gwarancjach których naruszenie równoznaczne byłoby z sankcjami międzynarodowymi. Na razie sprawa jednak upadła, a winę za to ponosi Izrael.

Ezecz, oczywiście, nie sprowadza się tylko do samego uwolnienia statków, lecz ma istotny aspekt polityczny. Agresywna działalność wojsk izraelskich w strefie Kanalu Sueskiego zagraża szansom misji specjalnego wysłannika ONZ. Nie rokuje to więc optymistycznych perspektyw.

A teraz jeszcze kilka słów o aferze z amerykańskim okrętem wywiadowczym „Pueblo”.

Wojownicze oświadczenia polityków amerykańskich przychylity i notuje się pewne rozładowanie sytuacji. Cała uwaga wróciła jest na działalność dyplomatyczną. Nie przesyłano już spraw, zainteresowania się incydentem przez ONZ. Forum rokowań jest Komisja Rozjemowa w Paryżu, co zasugerowały władze północnej Korei, a na który to kanał rozmów USA wyraziły zgodę. Pierwsze posiedzenie odbyło się 2 bm. przy drzwiach zamkniętych. Stąd też i brak informacji o jego przebiegu.

W. SŁAWSKI

# Kronika TYGODNIA

W Wietnamie południowym trwa olbrzymia ofensywa sił wyzwoleniczych. Oto opinie prasy amerykańskiej na ten temat: NEW YORK TIMES: „Ofensywa Vietcongu obnażyła kruchość struktury politycznej w Wietnamie południowym. Polityczne reperkusje sukcesu komunistów są potencjalnie najbardziej groźne”. BALTIMORE EVENING SUN: „Widok spadochroniarzy amerykańskich,

plomatycznych między Jugosławią a NRF stwierdza: „Wszelkie, dostępne dotąd informacje, świadczą o tym, iż porozumienie to zostało zawarte na lepszych warunkach, niż porozumienie, które swego czasu zawarła Rumunia i którego podpisaniu towarzyszyło zachodniemieckie oświadczenie, iż rząd NRF na dalszy wychodził z zasady, że jest jedynym przedstawicielem narodu niemieckiego”.



Niebezpieczna trójka. (International Herald Tribune)

zmuszonych walczyć o odzyskanie ambasad, to krwawy dowód, iż ta przewlekła, zjadliwa wojna daleka jest od rozstrzygnięcia punktu zwrotnego”.

Organ Komunistycznej Partii Urugwaju wystąpił z ostrą krytyką prasy burżuazyjnej z powodu jej „antyradykalnych i godzących w dobre imię rewolucji kubańskiej”, spekulacji wokół tzw. sprawy mikrofrakcji. Dzienniki burżuazyjne — pisze organ komunistów urugwajskich — usiłują wykorzystać środki podjęte przeciwko grupie członków partii kubańskiej, którzy z małymi wyjątkami nie odgrywali aktualnie żadnej kierowniczej roli, aby przekształcić problem wewnętrzny Kuby w kwestię szkodliwą podziałowi świata socjalistycznego i atakować Związek Radziecki.

Kairski dziennik „Al Ahran” komentując obecność radzieckiej floty w basenie Morza Śródziemnego pisze: „Związek Radziecki umocnił swą flotę na Morzu Śródziemnym, aby strzec „mostu morską” utworzonego dla dostarczenia nowej broni dla Egiptu w zastępstwie materiałów straconych w czerwcu ubiegłego roku”. Dziennik wskazuje, że krok ten został zdecydowany z uwagi na to, że dominująca potęga na Morzu Śródziemnym była VI flota amerykańska, oraz ponieważ kraje arabskie zaczęły do tego rodzaju iniekcji w radzieckiej, która uważają za element równowagi w tej sferze.

Czechosłowacka gazeta „Svobodne Slovo” komentując fakt nawiązania stosunków dy-

Były zastępca sekretarza stanu do spraw Dalekiego Wschodu — prof. Roger Hillsman oświadczył: „Wydaje się rzeczą nieuniknioną, że logika sytuacji w Wietnamie będzie w ciągu najbliższych paru miesięcy pchała USA do inwazji na Wietnam północny”. Profesor dodał, że inwazja taka „nie rozwiązałaby naszych problemów, lecz tylko je zwiększyła, zwiększając ryzyko konfrontacji z Chinami”.

Japoński dziennik „Aka-hata” (organ KPJ) w analizie aktualnej sytuacji w Chinach, pisze: „Podstawowe przeciwieństwa istniejące w Chinach, ujawnione w trakcie wielkiej rewolucji kulturalnej, realizowanej pod kierownictwem grupy Mao Tse-tunga, zmierzającej do uczynienia z Komunistycznej Partii Chin jego prywatnej własności i ustanowienia absolutnego przywództwa — nie zostały wyeliminowane. Wręcz przeciwnie, uważa się, że przeciwieństwa te przybrały na sile i w dalszym ciągu intensyfikują się”.

Głównodowodzący wojsk amerykańskich w Wietnamie południowym — gen. Westmoreland zapowiedział na konferencji prasowej w Sajgonie, że — jego zdaniem — najcięższych walk w obecnej ofensywie Vietcongu należy oczekiwać dopiero w przyszłości.

Rząd radziecki powiadomił oficjalnie kanadyjskie koła rządowe, że byłby zainteresowany w prowadzeniu wspólnych radziecko-kanadyjskich poszukiwań ropy naftowej na kanadyjskich obszarach okołobiegunowych i w terenach ropoносnych oddalonych od stałego lądu.

Organ KC KPCh. — „Rude Pravo” postuluje zwiększenie roli plenarnych posiedzeń instancji partyjnych. „Polityczne znaczenie tej potrzeby — pisze dziennik — jest oczywiste. Komunistom muszą mieć możliwość aktywnego udziału w kształtowaniu polityki partii tak samo, jak w jej realizacji”.

Rumuński dziennik — „Scanteia” w artykule „Zapewnienie jednoci i zwartosci międzynarodowego ruchu komunistycznego — głównym nakazem współczesności” — pisze m. in.: „Nikt nie ma prawa dokonywać... stopniowania i arbitralnie proklamować wskaźników, ani stopnia wierności innej partii w stosunku do zasad lub celów podstawowego ruchu komunistycznego. Praktyka etykietowania przynosiła wielkie szkody, a zaniechanie jej jest bezwzględnie koniecznością w interesie proletariackiego internacjonalizmu, w interesie jednoci i zwartosci bratnich partii”.

W czasie podróży propagandowej po Stanach Zjednoczonych izraelski minister pracy — gen. Igal Allon orzekł, iż podstawową potrzebą Izraela jest imigracja Żydów ze Stanów Zjednoczonych i innych krajów zachodnich. „Zachodnie żydostwo jest wielkim rezerwuarem wysoce utalentowanych i wyszkolonych pracowników, którzy mogą stać się cennym wkładem w rozwój Izraela” — oświadczył Allon.

W roku ubiegłym zanotował się poważny, przeszło 50 proc. w porównaniu z poprzednim stanem posiadania, wzrost tonażu rumuńskiej floty handlowej.

Premier ZSRR A. Kossygin udzielił wywiadu amerykańskiemu magazynowi „Life”. „Amerykańska agresja napotyka wzrastający o-

„Międzynarodowa Ziz” o polityce zagranicznej grupy Mao Tse-tunga: „Mao Tse-tung i jego zaścianicy szybko przemierzali wszystkie etapy na drodze do antysocjalizmu. Teraz znajdują się oni w awangardzie tych sił, które prowadzą walkę przeciwko Związkowi Radzieckiemu”.

Edward Teller, zwany ojcem bomby wodorowej, stwierdził, że zawarcie proponowanego przez USA i ZSRR układu o zakazie rozprzestrzeniania broni jądrowej stanowiłoby zagrożenie dla bezpieczeństwa USA.

W najnowszej ankiecie Gallupa 48 proc. ankietowanych odpowiedziało „tak” na pytanie, czy aprobują sposób wywiązywania się Johnsona ze swych prezydenckich obowiązków. 39 proc. — „nie”, zaś 13 proc. — wstrzymało się od głosu.

Korespondenci zagraniczni donoszą z Sofii o utworzeniu rzeczników prasowych przy Urzędzie Rady Ministrów Bułgarii i Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Rzecznicy prasowi informować mają na regularnie organizowanych konferencjach o problemach wewnętrznych i polityce zagranicznej Republiki.

W Czechosłowacji utworzono nowy tygodynik Związku Pisarzy CSRS „Literární Listy”. Zdaniem „Rudego Prava” decyzja ta jest przejawem normalizacji stosunków na froncie kultury. Pismo podkreśla, że swoje organy prasowe mają środowiska teatru, filmu, telewizji itd. „Uczynić podstawo we słowniki na naszym froncie kulturalnym normalnymi i zdrowymi — kontynuuje pismo — to znaczy normalizować je w duchu obrad ostatniego Plenum KC — tak, aby same w sobie bez nieustannego poprawiania i bez administracyjnych zabiegów, były czynnikami rozwoju prawdziwie twórczej i społecznej aktywności, aby pobudzały także do pełni świadomego współuczestnictwa”.

Rektor Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Pradze — V. Kadlec stwierdził, że aczkolwiek rolnictwo w CSRS



— Ta skarbondka może okazać się bardzo pożyteczna. (Junge Welt)

— powiedział premier, istnieją adekwatne siły na świecie, które nadal będą przeciwdziałały się agresji amerykańskiej. Klucz do pokoju w Wietnamie jest w rękach Stanów Zjednoczonych i odpowiedzialność za kontynuowanie wojny obciąża całkowicie USA”.

ma spore osiągnięcia na przestrzeni ostatnich dwóch lat, to jednak jest to przede wszystkim zasługa przetrwania warunków atmosferycznych. W rzeczywistości produkcja rolna w Czechosłowacji wzrosła znacznie wolniej, niż w rozwiniętych krajach kapitalistycznych.

## LISTY DO REDAKCJI

DO REDAKCJI „ODGŁOSÓW” W ŁODZI

W numerze z br. w artykule „O Dzikowie” „Garści popiołu” i innych sprawach” Rozmowa z Marianem Piechalem, wkładły się „pewne nieścisłości, które proste:

1) Autor pisze: „Dzików to sędzioba możnego rodu hrabiów Tarnowskich, wywodzących się od słynnego hetmana wielkokoronnego Jana Tarnowskiego (1488—1561)...” i dalej „w sto lat przeszło do hetmana bratniaka jego Jan Stanisław Tarnowski budoje klasztor Dominikanów

w Dzikowie (1676)...”. I tu autor się myli!

Początek rodu Tarnowskich z Dzikowa nie wywodzi się, jak to twierdzi autor, od hetmana Jana Amor Tarnowskiego (1488—1561). Rod hetmana wygasł na jego synie Janie Krzysztofie (1537—1597), który zmarł bezdzietnie, a jego dobra rodowe Tarnów z okolicą przeszły na jego siostrę Zofię (+ 1570), zamężną za księciem Konstantym Ostrońskim wojewoda kieloskim.

Ród Tarnowskich z Dzikowa wywodzi się z bocznej, młodszej linii Tarnowskich z Tarnowa. Ojciec hetmana — Jan Minor z Tarnowa kasztelan krakowski (+ 1500) posiadał brata Jana Peliksa (+ 1488) wojewodę lubelskiego, który odziedziczył klucz żochowski i wielowiejski.

Działem rodzinnym z r. 1508 synowie Jana „Srama” Tarnowskiego z Tarnowa, wojewody krakowskiego (+ 1507) (brata stryjecznego hetmana) — otrzymali:

Stanisław, kasztelan sadecki (+ 1520) — zamek Rzemien, klucz żochowski. Był on założycielem bocznej linii Tarnowskich, tzw. dzikowskiej, która do naszych czasów.

Natomiast Jan Spytek (+ 1562) wojewoda sieradzki i podskarbi wielki koronny otrzymał klucz wielowiejski. Ten w r. 1522 kupił od Andrzeja Ossolińskiego wioskę Dzików z fortalicjum, dokąd po r. 1543 przeniosł swą siedzibę z Wielosław. Stąd stał się założycielem bocznej linii Tarnowskich, tzw. dzikowskiej, która po wymarciu linii hetmańskiej w r. 1567 stała się odłogiem rodu Tarnowskich, przetrwała aż do naszych czasów.

Syn Jana Snytki — Współczesny też hetmanowi — Jan Stanisław (+ 1568) wojewoda sandomierski i podskarbi wielki koronny — był już dalekim krewnym hetmana.

Wobec powyższego, Jan Stanisław Tarnowski (1642—1677) rotmistrz królewski — fundator w r. 1676 klasztoru O.O. Dominikanów w Dzikowie — nie mógł być, jak to twierdzi autor, prawukiem hetmana.

W artykule jest mowa, że „z tychże czasów (tj. hetmana) — pochodzi dzisiejszy zamek dzikowski”.

Tymczasem według źródeł archiwum dzikowskiego (WAP — Kraków — Wawel) zamek dzikowski zbudowany w pierwszej ćwierci XVII w. na najstarszym planie z XVIII w., — przedstawia się właściwie jako duży dwór z barokową fasadą. Jedyną skrzydło, zawierające bibliotekę i kancelię — przybudowane prawdopodobnie w XVIII w. — ma już fasadę neoklasykistyczną.

Gruntowne przebudowy dworu na neogotycki zamek — dokonał znany architekt Franciszek Lancl w latach 1830—1832. Dalsza rozbudowa prowadzona w trzeciej ćwierci XIX w. wiedeńska spółka architektów Felsner — Helmer.

Po wielkim pożarze w r. 1927 odbudowę zamku ale już w znacznie skromniejszym zakresie — prowadził architekt Wacław Krzyżanowski.

Jak z powyższego wynika — dzisiejszy zamek dzikowski nie pochodzi z XV czy XVI wieku — lecz z lat 1830—1832.

Podając powyższe uwagi do wiadomości Redakcji — upraszam o sprostowanie omyłkowo podanych faktów.

Z POWAŻANIEM  
JÓZEF RAWSKI

# U grobu Dantego

Dalszy ciąg ze str. 1

Ale potęga Bizancjum niebawem się załamała. Po kilkuwiekowym rozkwicie i panowaniu Ravenny nad podległymi prowincjami, przyszyły czasy zniszczenia, zastój i zapomnienia.

Stolica upadłego exarchatu kilkakrotnie podbijana i łupiona, weszła ostatecznie w skład państwa papieskiego. Miasto było już wyludnione. Ruchliwy ongiś port, położony opodal, zamarli, zamulony. Nawet morze odwróciło się od Ravenny cofając się daleko wstecz i pozostawiając wokół bagniste mokradła, a otaczające je — opiewane niegdyś przez poetów — lasy szpilkowe nie zostały się również niszcycielskiemu działaniu ludzi i żywiołów.

Nastaly czasy zastój, i smutnej wegetacji. Przyjazd steranego długoletnią tułaczką Dantego był dla miasta prawdziwym, nieoczekiwanym i niewiadomym sukcesem. Twórca „Boskiej Komedii” był już wtedy głośnym, znanym i uwielbianym poetą. Ściągnęli więc za nim jego wielbicieli. Śmierć zaś jego wywołała powszechną żałobę i smutek mieszkańców Ravenny, którzy tłumnie uczestniczyli w pogrzebie. Grób poety umieszczony prowizorycznie w kościele św. Franciszka stał się niebawem celem peregrynacji i odwiedzin. Na próżno Florencja odzyskać chciała zwłoki swego wielkiego syna. Przygotowany nagrobek w kościele Santa Croce pozostał pusty. Władze miasta i mieszkańcy Ravenny nie chcieli rozstać się z drogimi im prochami. Szczątkom poety zagroziło też niebezpieczeństwo z innej strony. Papież Jan XXII ogłaszając Dantego herezykiem i umieszczając „Boską Komedię” na indeksie ksiąg zakazanych, polecił zniszczyć jego grób, zaś zwłoki kacerza spalić. I znów mieszkańcy Ravenny obronili swego wieszca.

Wędrowki humanistów do grobu Dantego zapoczątkował wielbiciel i spadkobierca jego talentu Boccaccio, przykład jego naśladowali inni. Zbaczał też do Ravenny cudzoziemscy podróżnicy zwabieni sławą jego twórczości i legenda o jego życiu. Skromna trumna w kościele św. Franciszka pokryła się epitafiami, płaskorzeźbami, wreszcie postanowiono wybudować mu godne jego geniuszu mauzoleum. Nie wiemy nawet jak wyglądał ten pierwszy renesansowy pomnik grobowy. Na jego miejscu wzniesiono bo-

wiem w wieku XVIII drugi — w stylu klasycystycznym, który do dziś stoi. Artysta osiemnastego stulecia wykonał dzieło zgodnie z wymaganiami swojej epoki, według najlepszych jej wzorów. A jednak, dziś, stojąc przed tym zabytkiem klasycyzmu sytuowanym na tle średniowiecznej bazyliki, zastanawiam się, czy nie lepiej było wielkiemu wieszczowi pozostać w jej dostojnych murach w tym samym decorum, w jakim za życia przebywał. Pod płytą wieńce i świeże kwiaty. Kilku cudzoziemskich turystów obok nas w milczeniu kontemplanuje. Nie słychać tu nawet natrętnego trzaskania fleszów. Nikt nie odważy się naruszyć dostojnej ciszy wieczności, która tutaj panuje.

Rozpoczynamy wędrowkę po mieście w poszukiwaniu ukrytych w nim cudów. Z czasów rzymskich jeszcze pochodzi mauzoleum grobowe córki cesarskiej Galii Placydy. We wnętrzu panuje niemal zupełny mrok, jedynie latarka przewodnika wiodąc po ścianach i sklepieniu wyczarowuje z nich olśniewające układy mozaiki, złoto gwiazd i błękit firmamentu, poniżej zaś postać dobrego pasterza, młodocianego Chrystusa bez brody, który niby mitologiczne bóstwo strzeże szmaragdowej łąki i pasących się wokół niego owiec.

Scena chrztu Chrystusa w Jordanie zdobi szczytowe pole rotundy najstarszego w tym mieście (pierwsza poł. V w.), a może i na świecie baptysterium. Nadnaturalnej wielkości postacie dwunastu apostołów otaczają kolistym pasmem centralną tę scenę. Całe wnętrze niewielkiej budowli wypełniają już to barwne mozaiki, już to motywy architektonicznej rzeźby. Patrzymy z podziwem i zachwytem na to wczesnośredniowieczne чудо, anonimowe dzieło licznych niewątpliwie artystów. Czekają nas jednak dalsze niespodzianki. Wkraczamy do bazyliki świętego Apolinarego, ufundowanej w czasach Ostrogockich. I tu znów doznajemy olśnienia. Nad rzędami greckich kolumn podtrzymujących główną nawę, suną długim szpalerem białych postaci dwie symetryczne procesje. Świętych niewiast i męczeńskich młodzieńców oddających hołd Dziewicy na tronie i zwyciężskiemu Chrystusowi, umieszczonym na przeciwległych ścianach obok prezbiterium. Wokół Matki Boskiej uwagę przyciągają trzej magowie ze Wschodu zdobni w przepyszne, kolorowe szaty. Ich wymowne ruchy i gesty przeczą powszechnemu przekonaniu o sztywnej nieruchomości bizantyjskich obrazów mozaikowych.

Wśród kościołów ravenńskich, których nie sposób wylizczyć i opisać, architektura wyróżnia się bazylika San Vitale, zbudowana w kształcie regularnego ośmiokąta. Prawdziwego szoku doznaję się w jej wnętrzu. Nie mamy wątpliwości, że oglądamy jeden z cudów świata, najpyszniejszy wykwit kultury bizantyjskiej. Takiej gamy kolorów, ta-

kłej subtelności ruchów, wyrazu twarzy przedstawionych postaci, dostojństwa kompozycji przy zachowaniu harmonii architektury i wystroju wewnętrznego próżno szukać gdzie indziej. Majestatyczne postacie cesarza Justyniana i jego małżonki Teodory w otoczeniu okazałego dworu, stanowią niewątpliwie centralne sceny mozaikowego szaleństwa, które pokrywa absydę, sklepienie i płaszczyznę między kolumnami. Świątynia ukończona była w 548 roku. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pomimo tylu przetańczających się przez miasto klęsk przetrwała do dziś w niemal niezmienionej postaci, stanowiąc perłę mozaikowego zdobnictwa.

Pamiętamy, że Ravenna posiadała ongiś własny port, położony kilka kilometrów od miasta. Port od wieków przestał istnieć, znikły też zabudowania go otaczające, pozostała tylko wspaniała świątynia wybudowana tu w okresie exarchatu ku czci św. Apolinarego, opiekuna miasta i portu, stąd jej nazwa Sant' Apollinare in Classe. Dostać się tu można autobusem kursującym rzadko, raz czy dwa razy dziennie. Jest jesień, niewiele już turystów odwiedza to miejsce. W pustkowi sterczy masyw świątyni, której wspaniałe kontury pozwala snuć wnioski o światowym znaczeniu istniejącego tu ongiś portu. Czekają tu nas nowe mozaikowe чудо. Przed nami, ponad ołtarzem soczysta zieleń rajskiej łąki i białe plamy pasących się owieczek. W trawie igrają również jelonki, zajączki, barwne ptaki bujają ponad krzewami. Kościół jednak dziwnie pusty, brak w nim bocznych ołtarzy, nagrobków, marmurów, do których przywykliśmy w świątyniach włoskich. Próżno ich szukać. Kościół został obłupiony z tych akcesoriów jeszcze w wieku XVI, gdy butny sąsiad z Rimini, słynny kondotier Malatesta, stawiając u siebie świątynię nie wahał się upiększyć jej kosztem rabunku i gwałtu. Przypnać trzeba, że ten szalony człowiek wykazał dużo gustu, fantazji i hojności. Kościół w Rimini (Tempio Malatestina) to wspaniały okaz renesansowej architektury i rzeźby nagrobkowej.

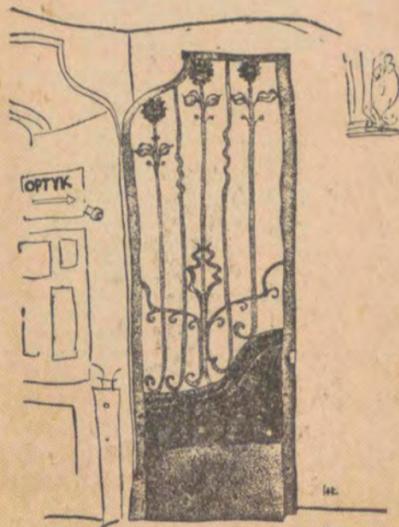
Mrok zapadał w chwili, gdy opuszczaliśmy Sant' Apollinare in Classe. Srebrny glob wychylił się nad jego wieżę. Z pobliskich kanałów dolatywał zapach wilgoci i zgnilizny, a wieczorne opary ścieliły się nad ziemią. Mary przeszłości zaroży wyobraźnię, krążyły wokół samotnej, zamkniętej już świątyni, budziły uczucie niepokoju i smutku. Czas wracać do światła i życia, które przetacza się na Placu del Popolo.

Pobyt w Ravennie przyniósł korowód kontrastowych wrażeń, oszołomienie ogromem doznanej piękna i dręczące odkrywaniem zakrzepłej tu historii. A zaczął się od chwili skupienia i zadumy u grobu geniusza ludzkości.

ZOFIA LIBISZOWSKA

Z teki Wacława Kondka

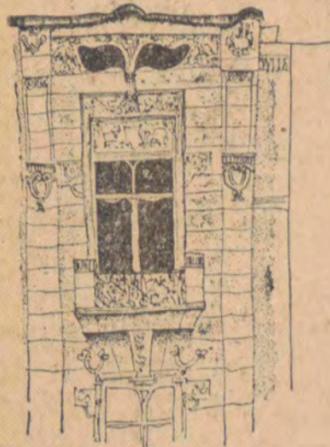
## Ulica Piotrkowska



Nr 43



Nr 31



Nr 43

# Nożycami przez PRASĘ

## JEDNA LITERA

Zdarzają się błędy w druku, których prowadzący niniejszą rubrykę nie prosi, licząc na domyślność Czytelników. Ale nie każdy chyba domyślił się, że w ostatnim przeglądzie prasy miało być „sakry” zamiast „sakwy”. A więc chodziło o zdejmowanie sakry z człowieka!

## CIEPLARNIA

Jeszcze nie straciła sily wzruszenia popularna ongi pieśń dziadowska:

Milosierna osobo, placz nad  
moją chorobą,  
Co się nazywa inaczej  
wstrętem do pracy...

Zajęto się w stolicy i u nas urodzonymi w niedzielę czyli leworęcznymi. Jeszcze w maju ub. roku, o czym na tym miejscu donosiliśmy, rozpoczęła w Warszawie swoją pożyteczną działalność Komisja, której zadaniem była rejestracja i skierowanie do pracy tych, którzy się od niej uchyłają, żyjąc nieraz z przestępstw, stanowiąc drożdże dla awanturnictwa i chuligaństwa.

Ile Warszawa posiada urodzonych w niedzielę? Około 10.000. A jak wygląda aktualny bilans skierowanych i pracujących? Około 200 osób.

Oczywiście, różne przypadki różnego wymagają podejścia. Niemniej dużo jest takich, co bezczelnie oświadczają wręcz,

że mają dwie lewe ręce i pracą się nie zhańbią. „Prawo i Życie” podsumowując dotychczasową działalność Komisji, występuje przeciwko cieplarnianemu traktowaniu okazów czelakształnych. Wypada się zgodzić z autorką artykułu, Marią Osia dacz:

Dla ludzi, którzy podjęli trud prowadzenia prac Komisji, dla działaczy społecznych niewątpliwie sięganie po środki administracyjnego przymusu jest czymś ostatecznym. Wynika to z przekonania o konieczności przede wszystkim wychowywania, a potem karania. Niemniej w wypadku tych przybliżonych 10.000 same rozmowy i perswazje wydają się niedostateczne. Proces wychowywania zacząć się może w ogóle dopiero w momencie kiedy będą uchwytani, kiedy rozpoczną pracę. Podnosimy nie pierwszy raz tę kwestię. Kolejne etapy prac Komisji, dane liczebne wskazują na to, że bez środków może drastycznych, ale koniecznych nie damy sobie rady z opanowaniem zjawiska.

Wypada nie tylko zgodzić się, ale przy okazji zadać pytanie: a jak bilans tej działalności wygląda w naszym mieście?

## NASZ MODEL

Na marginesie dyskusji o egalitaryzmie (zrównanie ludzi pod względem praw i dochodów), jaką zaprezentowały „Więzi”, polemicznie i często nie bez racji stwierdza Stefan Bratkowski w dwutygodniku „Współczesność”, w artykule „Model na jutro”.

Uwagi St. Bratkowskiego zastrzegają na szersze upowszechnienie.

Oto pierwszy:

Polski „facon d'etre” nie stał określony sposobem bycia ideowych rewolucjonistów, którzy pojmowali życie jako służbę, a swemu zachowaniu narzucali regułę skromności i prostoty. Przeciwnie, pełen wdzięku paradoks historii obdarzył przeciętnego pracującego Polaka prawem do „starego”, „szlacheckiego” sposobu bycia i myślenia.

Jedni pojęli to nader dosłownie; stąd tylu naszych „mopanków” na różnych szczeblach, stąd tyle niezaspokojonej próżności u ludzi, których rzeczywistość własna wartość i pozycja społeczna powinna im znakomicie wystarczać.

I druga:

Wyczytaliśmy u jednego z dyskutantów, że motyw zdobycia wyższego statusu społecznego jest najpotężniejszym bodźcem, pobudzającym ludzi do działania. Znowu to „uogólnienie na wyrost”. Wszystko zależy przecie od modelu kultury, w którym człowiek się wychował i który przyjmuje. Badania nad motywami kupna dostarczają

wiedzy o bodźcach ludzkiego działania w społeczeństwie amerykańskim, ale mało informacji — o bodźcach zachowania u Trobriandów i niewiele więcej — u Polaków. „Rozkład” rodzajów temperamentu też bywa w różnych społeczeństwach odmienny i w odmienny sposób skorelowany z modelem kultury. Znowu tylko reakcje i zachowania mogą dziś służyć jako podstawowy materiał diagnostyczny.

Bardziej ogólnie zagadnienie ujmując, można stwierdzić: jeśli chodzi o wady, dużo w naszym zmodyfikowanym społeczeństwie reliktywne... szlachetczyzny.

A jak widzi Bratkowski mądą inteligencję?

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że większość niestety polskich młodych inżynierów „inteligencją” nie jest; zaryzykowałbym twierdzenie, że ogromny procent absolwentów naszych wyższych uczelni nie pasuje do zakwalifikowania tym mianem. Na odwrót — spotykałem już dziesiątki chłopów z wielkimi kilkusetmowymi księgozbiorami, techników i robotników o ogromnym wyrobieniu kulturalnym, i nie ulega dla mnie wątpliwości, że przesunięcie w sferze kryteriów już się faktycznie dokonuje.

Nie wiemy co dopisać, gdyż są to sprawy nie dające się zweryfikować przez statystykę.

JAN OLECHNO

str. 3

Optymistyczny  
rekonesans



Kiedy w redakcji padła propozycja napisania artykułu dotyczącego aktualniejszych problemów mojego zawodu, zdumiałem się, że takie pospolite — moim zdaniem — sprawy, będą redaktorską ciekawości. Później uznałem to za fakt zadowalający, który jednak zobowiązywał do zrealizowania wyrażonego życzenia.

Zapytałem, o co konkretnie chodzi.  
— O wszystko — usłyszałem w odpowiedzi. — Medycyna stanowi hermetycznie zamknięte środowisko, o którym niewiele wiemy, poza wybuchającymi od czasu do czasu sensacjami, jak np. ostatnie przeszczepienie serca w Kapsztadzie lub w Stanford. Albo udane transplantacje wątroby w Colorado...

— To nie moja branża, jestem ginekologiem.

— Więc, co słysząc w pańskiej dziedzinie?  
— Jest szereg rzeczy, które niedostrzeżone przez przeciętnego człowieka stanowią, np. dla mnie, istotne rewelacje. Mam na myśli duży postęp w opiece położniczej nad pacjentką w ciąży i w trakcie porodu, wybitne obniżenie śmiertelności noworodków i matek związane z porodem, poprawę warunków w jakich pacjentka aktualnie odbywa połóg. Nie sięgając lat przedwojennych, nawet dane statystyczne sprzed 10 lat i obecne, wyglądają bardzo interesująco. Jako ciekawostkę podam, że teraz pacjentki praktycznie przestały rodzić w towarzystwie „babek”, co było przyczyną wielu śmiertelnych powikłań. Np. w zeszłym roku na 1886 porodów odbytych przez mieszkanki powiatu łowickiego, tylko 2 miały miejsce bez udziału personelu służby zdrowia. Te pacjentki spóźniły się po prostu z wezwaniem pogotowia ratunkowego, w celu przewiezienia ich do szpitala.

Proszę zauważyć, że ze szpałt gazet znikły stopniowo wszelkie sensacyjki o porodach odbytych w stodółkach, zgonach matek w polu, lub topieniu noworodków w kloakach. To są rezultaty naszej żmudnej, długoletniej pracy, gatunkowo nie mniej cenne i pożyteczne od wspomnianych osiągnięć w dziedzinie przeszczepów. A przypadki, o charakterze niespodzianki, jaką sprawiła nam niedługo panna Maria — „Szpry-

cha” praktycznie teraz już się nie zdarzają, mimo że przed laty były na porządku dzień inny.

— Panna Maria — „Szprycha”?  
Tak nazwaliśmy naszą lokalną bohaterkę w Łowiczu, Panna Maria, o której nie można powiedzieć, że pochodziła z dobrego domu, prowadziła tryb życia bardzo towarzyski. Rezultatem tego były częste ciąży. Kilka interupcji miała wykonanych w szpitalu, kilka prywatnie, po czym zachwycona lekkością zabiegów wykonanych przez ginekologów, postanowiła sama przerwać sobie następny z kolei ciążę. Próbowała to uczynić przy pomocy szprychy od koła roweru. Została przywieziona do szpitala w trzecim dniu tych manipulacji w stanie bardzo ciężkim, z objawami ogólnego zakażenia. Ratując życie pacjentce zmuszeni byliśmy usunąć jej operacyjnie narząd rodny, wykonać kilka transfuzji krwi, plazmy i podać drogę antybiotyków. Panna Maria opuszczając po 2 miesiącach szpital, przyrzekała, że do końca życia nie spojrzy nawet na koło roweru i do rejd nie weźmie choćby sztydła.

Nie mówiąc już o tak drastycznych przypadkach jak przytoczony wyżej, lub innych prymitywnych próbach przerwania ciąży, notujemy w ogóle wybitny spadek poronień zaczętych poza szpitalem. Śledząc do naszych miejscowych danych, przed dziesięcioma laty było ich 240, a obecnie jest tylko 124. W tej drugiej liczbie mieszczą się także poronienia samistne, których pacjentki nie chęły.

— Czym tłumaczyć taki postęp?  
— Pracą oświatową wśród pacjentek w szpitalach i w terenie. W oddziałach ginekologiczno-położniczych, chore mają możliwość wysłuchania kilku pogadanek tygodniowo na tematy profilaktyki chorób kobiecych, życia seksualnego, zachowania się w czasie ciąży i po porodzie, środków antykoncepcyjnych, fizjologii noworodka itp. W oddziale, który prowadzę, mamy magnetofon z szeregiem nagranych pogadanek, które pacjentki wysłuchują, jako uzupełnienie żywego słowa wygłaszanego przez lekarzy i pielęgniarki. Chora leżąca w oddziale wykupuje za sumę około 20—30 złotych środki antykoncepcyjne i lekturę poszerzającą wie-

dzę o zdrowiu i kulturze seksualnej. W ciągu stycznia br. sprzedaliśmy pacjentkom książek i broszur ze wspomnianej dziedziny za sumę 5 tysięcy złotych. Nie chodzi, oczywiście, o obroty pieniężne, lecz pożyteczne wiadomości zawarte w tej lekturze.

W ramach oświaty propagowanej w powiecie wygłosiliśmy w ubiegłym roku, w ramach akcji prowadzonej przez miejscowy Wydział Zdrowia, kilkadziesiąt pogadanek. Tematem była higiena życia codziennego, ujmowana w szerokim aspekcie. Miko było widzieć wśród audytorium tych prelekcji urządzanych na wsiach, młode dziewczęta obok dojrzałych lub wręcz 60-letnich gospodyń wiejskich, dla których niejednokrotnie temat zdrowia, nie mówiąc już o jego stronie seksualnej, stanowił dotychczas pewnego rodzaju tabu. Zainteresowanie ogromne. Takie pogadanki spełniają swój zasadniczy cel: uspokajają słuchaczki, lub pobudzają ich czujność, zmuszając do przeprowadzenia odpowiednich badań.

W Łowiczu jest czynna poradnia narzeczeńska, w której parom przedmażeńskim udziałem wyjaśnia kobiecie — magister psychiatrii, prawnik i ginekolog. Te wszystkie poczynania o których wspominałem, zmierzają do jednego: wyjaśnić kobiecie młodej i dojrzałej, czego może spodziewać się od leżnictwa, jak powinna postępować i co dać z siebie, aby nie przysparzać kłopotu własnej osobie i otoczeniu.

Zgodnie z instrukcjami Ministerstwa Zdrowia i Wojewódzkiego Wydziału Zdrowia staramy się uchwycić kobiety już w najwcześniejszym okresie ciąży, zarejestrować je w kartotekach, zmusić do comiesięcznego kontrolnego badania, a dotknięte przy tym jakimś schorzeniem, np. serca, zobowiązujemy do znacznie częstszych wizyt u lekarza. Chcemy poprzez to przygotować je do porodu i eliminując dodatkowe choroby, uniknąć przewidywanych powikłań. Wojewódzki Ośrodek Serologiczny domaga się oznaczenia w pierwszej połowie ciąży grup krwi i czynnika Rh u pacjentek, aby leczyć zagrażającą chorobę konfliktową płodu. Ośrodek onkologiczny żąda masowych badań cytologicznych, które mogą ujawnić wczesną inwazję nowotworową i umożliwić skuteczną wyleczenie.

Z tego, co powiedziałem, rysuje się, a właściwie już utrwała nowy model kontaktu pacjent — lekarz, w którym ten ostatni nie tylko wykona operację, odbierze poród lub wyleczy chorego z zapalenia płuc. Ale w trakcie obcowania z pacjentem umożliwia mu zorientowanie się w istocie schorzenia i poprzez treściwe, przystępne wyjaśnienia da szansę uniknięcia ponownego zachorowania. Na szczęście do rzadkości należą już pacjentki, które wychodząc ze szpitala, lub przychodni lekarskiej, nie są zorientowane na co chorują i jak mają się leczyć. Tu właśnie leży głęboki sens uświadamiającego znaczenia lektury i żywego słowa, pisanego i wypowiadanego przez lekarzy. Zławsza, że reakcja ze strony chorych jest zawsze pełna zainteresowania.

Idea nowoczesnie pojętego leżnictwa jest rozległa profilaktyka z całym wachlarzem metod, gdzie poczesne miejsce zajmuje oświata sanitarna, na którą wydano w ubiegłym roku w Polsce 16 milionów złotych. Lekarz wykonujący w ten współczesny sposób swoje obowiązki, nie musi mieć wiele wspólnego z pojęciem „spolecznika”, którym szafuje się tak chętnie i bez pokrycia. Oczywiście, że lekarz zaangażowany społecznie i sumiennie oceniać swoją powinność wynikającą z zawodowej profesji. Systematyczne położenie nacisku na profilaktykę przyniesie ograniczenie w konsumpcji leków.

Wydać się może, że brzmi to dość paradoksalnie: profilaktyka w warunkach szpitala? Rozważań na temat uniknięcia choroby, kiedy pacjent leży już w szpitalu. Jednak, w rzeczywistości jest na to zawsze czas i rolę lekarza widzę w przyszłości we wspomnianym świetle lekarza-profilaktyka, nawet kosztem zrezygnowania z części usług terapeutycznych wyświadczanych przez niego. Jak konkretnie i korzystnie można zmienić charakter wykonywanych zajęć w zawodzie, posłużymy się przykładem położnych. Otóż, obowiązek odbierania przez nie porodów został ograniczony tylko do szpitali i izb porodowych. Nasuwa się pytanie — co wobec tego, robią położne rejonowe? Zostały pracownicami profilaktycz-

ny. Prowadzą czynne poradnictwo wśród pacjentek, opiekują się nimi w ciąży i położu, lecz z porodem kierują do szpitala. Dążeniem naszej służby zdrowia jest ograniczenie porodów domowych jedynie do koniecznych i nagłych przypadków, natomiast zmierza się do pełnej ich hospitalizacji. Inicjatywa jak najbardziej słuszna. Każdy poród kryje w sobie potencjalną groźbę śmiertelnego niebezpieczeństwa. Statystycznie, obecnie umierają w Polsce 4 pacjentki rocznie na 10.000 odbytych porodów. Wskaźnik ten wybitnie zmniejszył się. W celu porównania podam, że w Łowiczu w 1957 roku mieliśmy 3 takie śmierci, a w ubiegłym roku żadnej. Podobnych zgonów nie jest w stanie przewidzieć nawet doświadczony położnik, gdyż powikłania porodowe występują nagle i bardzo burzliwie. Przeto profilaktycznie zmierza się do zapewnienia pacjentkom maksimum bezpieczeństwa, przez komasowanie porodów w szpitalach. Bowiem szanse przeżycia przez kobiety powikłań porodowych w warunkach szpitalnych są bez porównania większe niż w terenowej izbie porodowej, nie mówiąc o rozwiązaniu odbytych w prywatnym domu. Każdy oddział położniczy jest zobowiązany do posiadania odpowiedniej ilości krwi, płynów krwiozastępczych, leków przeciwkrwotocznych, ratujących niejednokrotnie życie pacjentce, o co byłoby trudne w innych warunkach. W dramatyczniejszych przypadkach wchodzi w grę bezzwłoczne wykonanie operacji.

I dlatego rozsiane w powiatach izby porodowe są likwidowane wraz ze wzrostem bazy szpitalnej. W powiecie łowickim zlikwidowaliśmy w ubiegłym roku dwie izby porodowe, pozostała już tylko jedna. Poza wymienionymi wyżej zastrzeżeniami przyczyniła się do tego mała frekwencja pacjentek. I tak, koszt jednego porodu w izbie porodowej wynosił około 2 tys. złotych. To dużo. W szpitalu kształtuje się ten kosztorys znacznie ekonomiczniej; chociaż są kobiety, których leczenie kosztuje ogromne sumy. Przykład sprzed miesiąca: pacjentka tuż po porodzie dostała krwotoku wskutek niedowładu macicy, do tego przyczyniły się objawy zaburzeń krzepliwości krwi. Po wyzerpaniu miejscowych zapasów, sprowadziliśmy krew z Łodzi, Skierniewic i Kutna, podając w trakcie ratowania pacjentki drogę preparaty fibrynogenowe lub zgraniczonego episkapronu. W czasie kilkunastogodzinnej akcji wykonałszy u niej operację. Nie licząc wysiłku, jaki włożył cały personel oddziału, koszt podanych leków wyniósł przeszło 20 tys. złotych. Pacjentka była zwolniona od jakichkolwiek opłat.

Kilka słów o ilości porodów. Oto w ciągu ostatnich 10 lat liczba porodów zmniejszyła się w naszym powiecie o około 400. Co na to wpływa? Chętniej odzwiedzinia lekarza przez pacjentki. Na przykład ilość wizyt w naszej poradni „K” zwiększyła się w okresie ostatnich lat o około 35 proc. Przy zwiększonej frekwencji kobiet w przychodniach lub miejscach zorganizowanych pogadanek można pogawędzić wydajnie świadome macierzystwo i seksuologicznie.

Niestety, środki antykoncepcyjne budzą wiele zastrzeżeń ze strony pacjentek. Jakość i skuteczność środków chemicznych i mechanicznych jest oceniana dość negatywnie. Przyszłość należy niewątpliwie do farmakologicznych, doustnych środków antykoncepcyjnych, które będziemy już wkrótce produkować w Polsce. Sposób użycia ich jest wygodny, niekrujący i niezawodny. Obecnie można korzystać z zgraniczonych preparatów dostępnych tylko w określonych aptekach. Należą do nich: lyndiol, anovral, noracylin. Szereg Polek używa te preparaty, lecz w porównaniu do 5 milionów Amerykanek stanowi to małą liczbę.

Poruszyłem szereg zagadnień dotyczących żywo mnie, jako ginekologa i położnika. Jest jeszcze szereg innych tematów nie tkniętych, a wiele dyskusyjnych. Być może wróce do nich w przyszłości.  
Obecnie chciałem tylko zwrócić uwagę, iż medycyna to wielonarowa dziedzina nauki, w której znajdują miejsce nie tylko szczytowo-rewelacje, jakimi są przeszczepienia serca i wątroby, niedługo być może mózgu, ale także istnieją drobniejsze i mniej efektowne na pozór osiągnięcia w postaci ginekologicznej i położniczej opieki nad kobietą. Faktem jest, że jedne i drugie zmierzają do wspólnego celu.

WŁADYSŁAW  
BORTNOWSKI

Rocznik  
Łódzki  
PTH

Z małym poślizgiem opuścił drukarnię XII powojenny tom „Rocznika Łódzkiego”. Stanowi on nowy kolejny dowód pokazywania wysiłków łódzkiego środowiska naukowego w zakresie historii regionalnej.

Coroczne ukazywanie się tomów (czasem nawet dwóch) przyczyniło się do rozszerzenia zainteresowań przeszłością regionu wśród badaczy; sławniło i stanowi dla nich rejon, że wyniki prac nie będą zalegały w biurku, ale ukaza się drukiem.  
Początkowo kolektyw autorów „Rocznika” redagował się

niemal wyłącznie spośród pracowników Instytutu Historycznego UL i państwowego Archiwum Wojewódzkiego. Stopniowo dołączali naukowcy z innych wydziałów Uniwersytetu: muzeolodzy, bibliotekarze, pracownicy archiwów powiatowych, a także (cenny nabytek) nauczyciele. Do tej redakcyjnej zaczęły napływać coraz częściej prace „ludzi z prowincji”. Pismo stało się rzeczywiście organem historyków całego regionu.

Zdawałoby się, że osiągnięcia badawcze bogata problematyka obejmująca także historię najnowsza miasta i regionu duży napływ artykułów i rozpraw ustabilizują sytuację pisma. Niestety wydaniu każdego tomu towarzyszą „homeryckie boje” zespołu redakcyjnego i władz Łódzkiego Oddziału PTH o uzyskanie kredytów.

Jak głosi oficjalny „Informator Nauki Polskiej za 1966 r.” „Rocznik Łódzki” jest wydawnictwem Polskiego Towarzystwa Historycznego, a więc ta instytucja chyba powinna za pewniać mu warunki istnienia. Tymczasem biorąc kolejne tomy od VIII do XII znajdujemy adnotację: „Wydano przy pomocy finansowej Prezydium Wojewódzkiej Rady

Narodowej i Rady Narodowej m. Łodzi” lub „wydano na zlecenie Komitetu Łódzkiego PZPR”. Kto więc jest właściwym wydawcą „Rocznika” i kto umożliwił rozwój badań regionalnych?

Gdyby nie wyjątkowa życzliwość władz partyjnych oraz Rad Narodowych Łódzkiej i Wojewódzkiej wyglądałoby, że „życiowy” „Rocznik”, choć i chlubny, zakończyłby się na VII tomie. Wydał się, że dziesięciolecie łódzkiego czasopisma historyczno-regionalnego jest dostatecznie długim okresem dla sprawienia życiowości środowiska.

W ostatnim tomie Rocznika, w ciekawym szkicu o historii regionalnej we Francji dr A. Barszczewska pisze: „Badania regionalne we Francji stanowią istotną część składową ogólnokrajowych badań historycznych. W programach studiów wszystkich uniwersytetów prowincjonalnych traktowane są jako dyscyplina naukowa... Uniwersyteckie badania regionalne wspierają liczne instytucje na ukowe, które grupują przedstawicieli różnych dyscyplin umożliwiająca w ten sposób poszerzenie tematyki i zasięgu badań” (s. 383-384).

No cóż? U nas jest inaczej. Nie instytucje naukowe, ale władze partyjne i władze ad-

ministracyjne umożliwiają badania regionalne. Najważniejsze jednak są historia regionalna rozwija się, a ostatni tom „Rocznika” jest tego dowodem.

Treść omawianego tomu, obok rozpraw, materiałów recenzji i bogatej i zawsze kroniki życia naukowego, przetrzymuje dorobek konferencji (11-12.III.1966) poświęconej historii przemysłu włókienniczego na ziemiach polskich, a zorganizowanej przez środowisko łódzkie.

Gospodarzem konferencji była prof. dr G. Misalowa (autorka dwutomowych „Studiów nad powstaniem Łódzkiego Okręgu Przemysłowego 1815 — 1870”) której seminarium magisterskie i doktoranckie od lat są poświęcone w znacznej części problematyce przemysłu włókienniczego i kształtowania się polskiej klasy robotniczej w XIX w. Konferencja miała charakter ogólnopolski, a przedstawione referaty stanowiły przeważnie wyniki wieloletnich badań archiwalnych (np. J. Fijałek, „Przemysł włókienniczy Królestwa Polskiego w świetle materiałów Inspekcji Fabrycznych” lub P. Korzec „Geneza i rozwój biłostockiego przemysłu włókienniczego w XIX wieku”). Materiały konferencji z konieczności uległy w druku znacznym skrótom.

Rozprawy i artykuły w omawianym tomie dotyczą głównie historii nowożytnej i najnowszej. Cenna jest praca nauczyciela mgr J. Górala, który przedstawił powojenne reformy rolnej w powiecie rawsko-mazowieckim. Sprawom zatrudnienia w łódzkiej przemyśle włókienniczym lat międzywojennych poświęcił artykuł S. Mierzejewski, a początki ruchu robotniczego w Zduńskiej Woli zobrazował J. Smiałowski.

Inne tematy artykułów — to walka o układy zbiorowe w łódzkiej przemyśle włókienniczym, operacja łódzka 1914 roku w świetle radzieckiej literatury historyczno-wojskowej oraz charakterystyka dóbr ziemskich rodzin Łaskich w Łeczyckiem i Sieradzkim.

W dziale drobnych prac i materiałów znajdujemy ze swada napisane polemiczne „Refleksje nad drogą niepoprawności” doktora W. Michowicza. Jest to próba oceny, wniesienia poprawek, sprostowań i uzupełnień do ważniejszych pozycji literatury historycznej, dotyczącej walki dyplomatycznej o miejsce Polski na arenie europejskiej w latach 1939—1945.

Bogaty dział recenzji (11 pozycji) omawia publikacje poświęcone głównie historii re-

gionalnej, a ciekawa, jak zaw sze kronika przynosi informację o łódzkim życiu naukowym. Ale...

Właśnie ten ostatni dział nasuwa uwagi recenzentowi. Cytowany już szkic dr A. Barszczewskiej nie jest notatką informacyjną. Daje stosunkowo szczegółowy obraz organizacji, a także i wyników prac w zakresie historii regionalnej we Francji. Dlatego chyba należało mu się miejsce w dziale „Drobne prace i materiały” a nie „Kronika”.

Mam również wątpliwości czy akurat w „Roczniku” jest miejsce na drobne sprawozdania z pracy katedr uniwersyteckich (8,5 strony nonparelu) i to nie związane z badaniami regionalnymi. To prawda że Uniwersytet działa w Łodzi, a „Rocznikowi” nie co łódzkie nie jest obcym, lecz mimo to dla informowania o osiągnięciach naukowych typu nie-regionalnego chyba bardziej powołane są „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego”.

Wydać mi się, że tom XII „Rocznika”, tak jak i tomy poprzednie przynosi dla każdego miłośnika łódzkiej przeszłości coś ciekawego i pasjonującego. Zresztą nalepiej o tym przekonać się praktycznie.

# PIĘĆ NOCY I SZESĆ DNI...

Przez piekło brudnej wojny w Wietnamie przechodzą setki tysięcy młodych Amerykanów w mundurach armii USA. Jednych przekształca ono w krwawych awanturników gotowych na wszystko, w innych rozbudza świadomość, budzi ludzkie uczucia i niechęć do brutalnego mieszania się w życie i sprawy innych narodów. O amerykańskich żołnierzach spędzających urlop w Japonii, którzy w morzu alkoholu pragną utopić zmyry wyrzutów sumienia i niepewności, pisze japoński dziennikarz Kiejchiko Nagai w tokijskim dzienniku „Asachi Dżanaru”.



„Komunizm — wróg Ameryki, żołnierze Wietnamu — komunizm, dlatego wojujemy” — ten wyuczony syllogizm deklamuje każdy żołnierz, przyjeżdżający z Wietnamu na urlop.

Policja japońska nierzadko zatrzymuje amerykańskich żołnierzy-urlopowców, którzy w bagażu szmuglują narkotyki. Pewien amerykański oficer, który przyjechał dziupem do komisariatu policji w Jokohamie po aresztowanego żołnierza ze swojej jednostki, uzależnił się: „Nasi chłopcy nie chcą wojować bez narkotyków”...

Sufit i ściany baru „Atami” są szczelnie oklejone krążkami z papieru. Urlopowani żołnierze wpisują tam swoje imiona i nazwiska oraz daty pobytu w barze. Bar cieszy się wśród Amerykanów wielką popularnością. Często i rozmowy biorą początek od owych papierowych krążków. Oto żołnierz, odczytawszy na nim jakieś nazwisko mówi: „No, właśnie. I tego też już nie ma”... Tabliczki bieleją iluzorycznie, podobne nagrobnym świeczkom.

Widziałem przed barem żołnierza, jak ze smętnie opuszczoną głową siedział na kamieniu i młół na deszczu. Inny znów w bezmyślnym zapamiętaniu obserwował, jak w restauracji myją talerze. Słyszałem o żołnierzu, któremu kończył się sześciodniowy urlop, i który nazajutrz rano miał już wrócić do bazy. Plakał i nie chciał wyjść z pokoju, opóźniając o pół godziny odjazd autokaru. Inny, dosłownie dzieciak, nieustannie wprawił w ruch drzwi obrotowe w hotelu, nie chcąc wyjść na zewnątrz.

Nasłuchaliśmy się takich historii od mieszkańców miasta i personelu hotelów.

Amerykańskich żołnierzy przyjeżdżających do Japonii na krótkoterminowy urlop, wprost z pola walki, zwykle się przedstawia, jako ludzi rozpasanych i brutalnych. Wszakże przy częstych kontaktach okazuje się zazwyczaj, iż są to w większości bardzo jeszcze młodzi ludzie, pogrążeni w determinacji, którzy wątpią w cele tej wojny.

Osiemnastoletni chłopiec wypija kufel piwa, później skacze do basenu. Drżąc z zimna, wychodzi z wody, wrzuca monetę do „grającej szafy” i znów pije piwo. Rzadko wychodzi z hotelu, całe dni spędza w krytym basenie.

— Przyjemnie jest w Japonii — stwierdza. — W Wietnamie kapiemy się w lejach od bomb.

Ten żart nikogo nie rozwesela.

Większość urlopowanych żołnierzy przyjeżdża do Japonii na pięć nocy i sześć dni, po dziesięciu miesiącach służby w Wietnamie, i po upływie dalszych dwóch miesięcy wraca do Stanów.

Z Wietnamu przyjeżdżają do wojskowej bazy lotniczej USA w Jokota. Stąd jadą autokarami do „centrum urlopowego”, gdzie się ich instruuje, jak się mają zachować w Japonii.

Ma 29 lat. Ma żonę i troje dzieci. Jest wojskowym z zawodu. Popijając piwo po obiedzie i gawędząc z kolegami Jim nieustannie chwali żonę, którą pozostawił w kraju.

— Dobra żona — mówi. Chętnie też rzuca szczegółami: „Gdy wyjechałem do Wietnamu, z początku pisała do mnie każdego dnia, potem trzy, dwa razy w tygodniu, później raz na dwa tygodnie. A teraz? Teraz zaledwie raz na miesiąc. Do tego listy są coraz krótsze. Japonia jest pięknym krajem. Dużo tu pięknych kobiet”.

Opowiadając mi to wszystko, Jim nie puścił ani jednej kobiety, żeby jej nie zagadnąć: „Ale dziewczyna!...”

Ale rubasznie wesoly Jim zaraz milki, gdy tylko pytałem go o Sajgon. Upijał się do tego stopnia, że bez najmniejszej zenady wykrzykiwał publicznie najbardziej ordynarne wyzwiska, których — jestem przekonany — nie ośmieliłby się użyć w obecności amerykańskiej kobiety. O wojnie w Wietnamie nie wspominał, ale kiedyś z ciężkim westchnieniem powiedział: „Zostało jeszcze 46 dni...”

„Zostało mi jeszcze dwa miesiące...” „Chciałbym wrócić żywy...” — takie słowa padały z ust wielu amerykańskich żołnierzy.

Gdy Jim powiedział: „46 dni”, siedzący obok żołnierz amerykański odezwał się:

— Mnie pozostało jeszcze dwa miesiące. Wrócę i zostanę inżynierem.

Ow przyszyły inżynier powtarzał wiele razy, że obmierza mu już wojna w Wietnamie.

W Tokio, na Gindze, znajduje się biuro turystyczne, obsługujące amerykańskich wojskowych. Już od rana tłoczą się wokół nich kobiety określonej profesji. Kręcą się one również przed hotelem w znanej miejscowości wypoczynkowej Atami, pilnie poszukując „klientów”. W nocnych lokalach i barach tego znanego kurortu spotyka się wyłącznie amerykańskich żołnierzy i prostytutki.

Byłem świadkiem, jak w biały dzień, dwaj Amerykanie wprowadzili do pokoju hotelowego jakąś kobietę. Byli tak pijani, że nie zwracali uwagi na otoczenie.

Większość urlopowanych żołnierzy z Wietnamu to młodzi mężczyźni w wieku 18—24 lat. Tutaj, w Japonii, upajają się winem, kobietami i narkotykami. Bo i cóż wreszcie mogłoby ukoić tych prawie jeszcze chłopców, nie wierzących w „świętą wojnę”?

Japońska dziennikarka Juko Macuoka, przebywająca przez pewien czas w północnym Wietnamie, opowiada: „Jadalam przy jednym stole z żołnierzami północnowietnamskiej armii. Nie brali do ust kropli alkoholu. Wino podawano wyłącznie gościom”.

Widziałam też urlopowanych żołnierzy amerykańskich w Atami. Ponury widok tych pijanych mężczyzn, uganiających się za kobietami, wywarł na niej przynębiające wrażenie.

Mieszkańcy Atami rozwiesili na ulicach miasta plakaty: „Nie pozwolimy przekształcić naszego miasta w wesołe miasteczko dla amerykańskich żołnierzy z Wietnamu!” Plakaty tej samej treści można również ujrzeć w Tokio i w Jokohamie.

Problem wypoczynku żołnierzy amerykańskich w Japonii był przedmiotem obrad Trybunału do badania amerykańskich zbrodni wojennych w Wietnamie oraz zaangażo-

wanych w tym również pewnych kół rządzących Japonii. Obrady odbywały się w Tokio. Trybunał uznał, iż winę za to ponosi rząd japoński. Być może, iż jednym z ważkich motywów tego orzeczenia, jest fakt, że rząd patrzy przez palce na jawne naruszanie przez wojskowych amerykańskich ustaw o walce z prostytucją.

Poznałem amerykańskiego żołnierza, chętnego się siebie partyzantom południowowietnamskim. Należał do jednostki „wojsk specjalnych”. Taki zadowolony z siebie gangster. Wszakże i on nagłe sposepniał, gdy w hallu pisał list do domu: „Mamo, wracam do Wietnamu. Pozostało mi jeszcze dwa miesiące do końca”...

Więc znów na front. I z niedawnej chępliwości nie pozostało śladu...

## Rozwiązanie świętecznego konkursu „ODGŁOSÓW”

Ogłoszony w świątecznym numerze „ODGŁOSÓW” konkurs pn. „Czy znasz łódzkie pałacyki”, wzbudził wśród naszych Czytelników duże zainteresowanie. Do redakcji wpłynęło kilkaset odpowiedzi.

Spośród trafnych rozwiązań naszego konkursu wylosowano następujące nagrody:

**I NAGRODA:** Patefon dwugłośnikowy — otrzymuje p. Janina Dworaczyńska, Łódź, ul. Grabowa 12;

**II NAGRODA:** Radio tranzystorowe — otrzymuje p. Jan Granosik, Ozorków, ul. Parzęczewska 8;

**III NAGRODA:** Wyciskarka do owoców — otrzymuje p. Irena Pruszkowska, Łódź, ul. Obywatelska 10;

**TRZY NAGRODY POCIESZENIA:** Elektryczne maszynki do golenia — otrzymują: p. Andrzej Ciechański, Łódź, ul. Turowska 24, p. Władysław Smętek, Warszawa, ul. Marszałkowska 28 i p. Józef Ptasieński, Łódź, ul. Mostowskiego 19a.

**PONADTO DODATKOWĄ NAGRODĘ SPECJALNĄ** — komplet książek — otrzymują dzieci z Państwowego Pogotowia Opiekuńczego w Łodzi, ul. Kopernika 36.

Osoby zamieszkałe w Łodzi prosimy o odebranie nagród w naszej redakcji, Łódź, Piotrkowska 96, III p., prawa oficyna, natomiast osobom zamieszkałym poza Łodzią, wylosowane nagrody prześlemy pocztą.

M. W.

## Obrady Towarzystwa Wiedzy Powszechnej

2 lutego br. odbyła się w Łodzi ogólnopolska konferencja Towarzystwa Wiedzy Powszechnej poświęcona problemom działalności i rozwoju TWP. Udział w obradach wzięli — kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KC PZPR — L. Stasiak, jego zastępca — J. Muszyński, pierwszy sekretarz KL i KW Partii — J. Szychalski i S. Jędrzejczak, wiceprzewodniczący Zarządu Głównego TWP — prof. F. Sawrymowicz i A. Włodarczyk, przedstawiciele wojewódzkich wy-

działów propagandy, delegacji organizacji społecznych, naukowych, młodzieżowych oraz liczni delegacji zarządów wojewódzkich Towarzystwa.

Konferencja poświęcona była przede wszystkim sprawom oddziaływania Towarzystwa i jego dalszego rozwoju.

Referat Wiesława Beka, sekretarza KW PZPR ukazał, jak poważny jest wkład TWP poprzez podnoszenie świadomości i wiedzy szerokich kręgów społecznych — w realizację programu PZPR. Niemniej konieczna jest modyfikacja oddziaływania Towarzystwa — wynika z referatu W. Beka. — Konieczne są pewne ulepszenia w sferze akcji odczytowych na wsi, tak, aby objęło to nie tylko załogi Państwowych Gospodarstw Rolnych, ale także wszystkich rolników indywidualnych. Instruktaż z zakresu problemów rolnictwa powinien podczas odczytów obejmować szeroko i wszechstronnie zagadnienia

wiedzy rolniczej, i nie powtarzać treści przekazywanych chłopom masowo w czasie szkolenia rolniczego. Konieczny jest także dalszy rozwój sieci Uniwersytetów Powszechnych, mających wszelkie dane na jeszcze szersze oddziaływanie w środowiskach społeczności wiejskiej.

Sekretarz KL PZPR, Hieronim Rejniak, w swoim referacie, „Wybrane zagadnienia z działalności TWP w Łodzi” poruszył między innymi bardzo doniosły problem pozyskania do współpracy z Towarzystwem środowisk kulturalnych i naukowych, których udział w dotychczasowej działalności organizacji jest niewystarczający. To pozwoliłoby na jeszcze pełniejsze, wszechstronne oddziaływanie TWP w naszym mieście. Zdaniem H. Rejniaka ważną sprawą dla Łodzi jest weciągnięcie do orbity oddziaływania TWP kobiet, które w naszym mieście stanowią prawie połowę pracujących.

W referacie wiceprzewodniczącego ZS TWP — A. Włodarczyka — znalazły się postulaty pogłębienia pracy z młodzieżą, tak, aby rozbudzać w niej świadomość polityczną, zainteresowanie kwestiami nauki i kultury, tak aby przez odpowiednie szkolenie teoretyczne i praktyczne, jak najlepiej przygotować młode dziewczęta i chłopców do wykonywania zawodu.

Podsumował obrady kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KC PZPR — Leon Stasiak, zwracając szczególną uwagę na odpowiedni dobór tematyki odczytów, na odpowiednie, komunikatywne przekazywanie wiedzy, co wiąże się z koniecznością nieustannego podnoszenia poziomu prelegentów i lektorów, wreszcie na nagłą potrzebę docierania do miejscowości szczególnie zaniedbanych pod względem kulturalnym i oświatowym.

## BRYGADA

Umiemy strzelać z armat, karabinów, piątów, prowadzić samochody, czołgi, amfibie i motocykle, młotać piomienie, zabijać nożem, łopata i kantem dłoni, żywić się koczowniczymi i pić wodę z kałuż, pływać pod wodą i chodzić po linie. Nie potrafimy tylko jednego: nie myśleć o Kraju.

Cierń. Istnieje cena za wyjęcie tego cienia z naszych pięt: co czwarto. Generał Grasset: „Pańska Brygada, generale? Najpierw skok do bliskiej Europy, i, o ile straty przekroczą 25 procent, pomyślimy o przetransportowaniu was do Polski...”

Cena przystępna...

Ale Brygada jej nie zna. Brygada nie wie nic o swoim przeznaczeniu. Brygada weszła na maszt wysmarowany mydłem, gdy by na jego szczycie zaknięto wreszcie rozkaz: Cel — Kraj! Brygada wierzy.

Mruczy powietrze, idą sennie Dakoty, sypią ludzkim grochem, niebo w białych piętach. I nagle suchy, wysoki trzask, oczy skaczą ku ławicy maszyn: dwie blisko sunące Dakoty podają sobie skrzydła, jak na pożegnanie, płomień, dym, chyla, błyszczą szybami, łeb do łba niezłym dwa delfiny w lotnym pocałunku i rozstają się zwiędle, ta w prawo, ta w lewo, kompania ryczy: Skacz cie! — a one się chwyciły w locie i, zwinawszy płetwy w wirowym pirucecie, wala w ład. Skarga blach, ogień i dym i nic poza nim.

...I znowu marsz. Zdani na własne nogi, objęci bronią i amunicją, przemierzamy polacie środkowej Anglii, wzniesienia, doliny, brody, nawet gdy tuż obok dudnią pracowite mosty. Jesteśmy bronią specjalną, nie dla nas wygodne transportery, nie dla nas czołgi ni amfibie, idziemy w słońcu i deszczu, garbaci, przycięci ku ziemi, pokaci i ocieżali. Nazwy angielskich miast i miasteczek, osiedli i wsi, które nie są wsiami, czymś z bajki o kwiatkach; tu strzecha bywa wizytówka minionych wieków i świadectwem dobrego smaku; idziemy w znoju z jednym tylko zadaniem, i jednym celem wędrowki: wzmocnić nogi i płuca, odporność karków; być zdolnym do samodzielnego przenoszenia się w pełnym uzbrojeniu w odległe punkty map. Jest w sposobie naszego szkolenia coś z metod średniowiecza, choć stanowimy broń najbardziej nowoczesną. Zmilitaryzowany świat jakby przeczuwał, że w ostatecznym rachunku na polu bitwy zostanie tylko żołnierz, jego karabin i nóż. Reszta jest chimera. Idziemy przez Daston w hrabstwie Northampton, przez Bourne w Lincoln, odbijamy ku Stretton w Rutland i dopiero w Waltham on the Wolds pozwalamy na dłuższy postój. Mamy za sobą dziesięć godzin marszu z krótkimi postojami na spuszczenie wody, nasze łydki, z chwilą zrzućcia z pleców ciężaru broni, żywności i amunicji, sprężynują, korpus traci wagę, zwałamy się w trawę, strzyżoną krótko, soczystą i miękka zarazem.

I teraz dopiero mięśnie wiotczeją, zmęczenie zakleja powieki. Nie ma słów, głębokie westchnienia w czystym powietrzu, papieros.

— Żyjemy, by maszerować... — To długi, kosztowny Konrad, którego ktoś wyjął z gotyckich inkunabułów.

— Ładnie rzekł.  
— Nie ja, cytat z kogoś, nie pamiętam.  
— Nie kłam.  
— Co mam kłamać.  
— Zawsze mówisz cytatami z samego siebie.

— Może. Jeżeli człowiek mówi, mówi od siebie, nawet gdy powtarza.

— Tyż tak myślę — wtrąca Jan, którego nazwisko: Gałaj, wyszło w ogóle z użycia, przezwany Nicorderem. Nicorder, piekielny kapral.

— Nie zawsze. Gdybym powtórzył słowa Monty'ego... Pamiętacie, co powiedział po inspekcji Brygady?

— „To wspaniali żołnierze, będą zabijać każdego”... — uprzedza mnie Konrad — szleszcząc powiekami, że Słowa o Polku Igoriewie...

Ryżawojasny Goldblat rusza odstającymi uszami.

— Co, zgadzasz się z nim, Goldblat?  
— A czy ja co mówię? — mówi Goldblat.  
— Ruszasz uszami.  
— No to czym mam ruszać? I co z tego, że ruszam?

Jerzy zrywa trawkę i kładzie sobie na otwarte oko. Bomba zegarowa, która udaje niewypał.

— Zielone niebo — mówi. Mruga szybko powiekami i zrzuca drażniące źdźbło. Mętna iza ratuje podłechtana żrenicę.

— Płaczące niebo.  
— All right, panie poruczniku — Jerzy milknie na dobre.

Moja niepełna kompania, chłopcy różnej budowy, potężni i drobni, uczeni i półanal-

fabeci, inteligenci i chłopci z Podola, Wileńszczyzny, Mazowsza, Poznańskiego i Śląska. Mam prawo mówić „moi chłopcy”, są moi i ja jestem ich. A przecież wiem, że gdzieś, na dnie naszej codzienności czai się nie odkryty cień, coś mnie dzieli od każdego z nich, przyjaźnie są powierzchowne, zaleźności dosłowne. Nie potrafię tego określić, ale czuję chwilę, kiedy mnie nie cierpią, a wiem dokładnie, kiedy ja mam ich dość. Wiąże nas postanowienie wytrwania do końca, nie chcemy zejść z tej wyspy pokonani przez czas i szybko przesuwające się dywizje na liniach frontów, które już kilka razy w ciągu minionych tygodni zdawały się wyciągać po nas ramię i cofały je na skutek własnego rozpedu: stawali się niepotrzebni albo niegotowi. Gotowi jesteśmy tylko do rozpadu, jeżeli to potrwa. Nasza przyszła demobilizacja, nasze spotkania po latach, w przypadkowym tramwaju, na urlopie, w knajpie, otworzą się ramiona, kombatanci z egzotycznych czasów i ziemi: Pamięta pan porucznik?... Pamiętasz, Jasie?...

— Powstań — wstają pierwszy — rozbijamy obóz.

Potem przychodzi noc. Nic się nie dzieje, tylko Nicorder kiwa się na wachcie, wsparty o karabin, Jerzy postępuje z cicha, a Konrad mruczy cytaty z samego siebie.

W sąsiednim namiocie Anatol znowu gada o papugach.

— No więc kupiłem, jedna ma imię Puk, druga Efeb. Anglica, co mi je odstąpiła, mówi: oh, they are extremely intelligent birds, you'll see, young man — you'll see...

— To już znamy — głos Pietrzaka — Przewstaw na inną falę, Bień, co?

— Jak chcesz — odpowiada Anatol — ja się nie napraszam, ale papugi to naprawdę inteligentne ptaki...

— Pieprzysz — znowu Pietrzak — taki smród w domu trzymać! Ja to bym zaraz łby poukręcał.

— I taki jest sanitariuszem! — rozżalony głos Anatola.

— Ty, Bień — znowu Pietrzak — co ma piernik! Człowiek to człowiek a gad to gad

— Ptak to nie gad!  
— Daj spać, ptak czy gad, zwierzę psu brat. Mnie tam bez różnicy.

— Ot i naród! — wzdycha Bień.

— Słyszałeś, Konrad? — kładę ramię na brzuchu tego astenika.

— Jeden lubi to drugi tamto, a trzeci w ogóle nic.

— Nie uważasz — szepczę — jacy my jesteśmy sobie, w gruncie rzeczy, obcy?

— Cóż dziwnego, Bob? Milczymy chwilę.

— Pamiętasz — mówię — jakieś się na siebie boczyli jeszcze nad Loch Linnhe, jeszcze w Fort William?

Wzdycha. — Ach, Szkocja...

— Dzikie kraj, powiedziałeś, gdyśmy do siebie przegadali w końcu.

... — Tak — potwierdził wtedy, wodząc ciemnym spojrzeniem po górach, których zupełna inność od tego, co można widzieć w Europie, syciła nas szczególnym cocktailem wzruszeń. Każdy skrawek tego kraju zdaje się chować przezornie między fosi długich jezior, jakby ze wszystkich stron groziła niespodziewana agresja. Pomiędzy przytulnym, sennym Fortem William, chronionym od wschodu trójkątnym jeziorem Loch Treig, od południa jeziorem Loch Leven, a Strathan, gdzieśmy chadzali na pierwsze ćwiczebne wypady — kawał pustaci wziętej w nawiasy dwu podłużnych pasm wody jezior Loch Arkaig od północy i Loch Eil od południa, urządzono nam zbrojną Arkadię, zamkniętą jeszcze niżej wodami Loch Laiden. Patrzyły na nas martwe, surowe góry, z których najwyższa, Ben Nevis, nurzała swój ponad cztery tysiące stóp wyniosły szczyt, w gestych, nieśmiertelnych obłokach. Po deszczach spływały jej zboczami sełki strumieni-wodospadów i tworzyły się nad przełęczami tęcze, jak bramy triumfalne, w które wchodził w osłupieniu, wskazując sobie drogi kamiennych lawin, którym nie starczyło mocy, by opaść na samo dno dolin.

— Gniew gór, którym nie starcza woli — powiedział Konrad.

Było to pierwsze pełne zdanie, jakie usłyszałem od tego człowieka. Jego ostry profil wycinał się na tle zieleni i czerni niezłym ikona podświetlona od dołu. Uśmiechał się do myśli, których nie mogłem przeniknąć

(Fragment powieści, wyróżnionej na konkursie MON).

## Najprościej

Z Kochanowskiego mam badył bylicy —  
Niechże mnie chroni przed chorobą czasu.  
Od Mickiewicza wzięłem tęczy arkę  
Na moją wiejską w mieście gospodarkę.  
Ze Słowackiego zaś girlanda koni  
Złoconych kopyt rozbrykiem mi dzwoni —  
Abym nie zasnął brukiem na ugorze,  
Gdy wiatr od ludu nie budzi lecz muska.  
Z Norwida — gminność w najpierwszym wygłosie.  
A z siebie — tylko siebie mam za ledwie.  
Jeśli wystarczy — przyjmijcie najprościej.

## Garść żyta

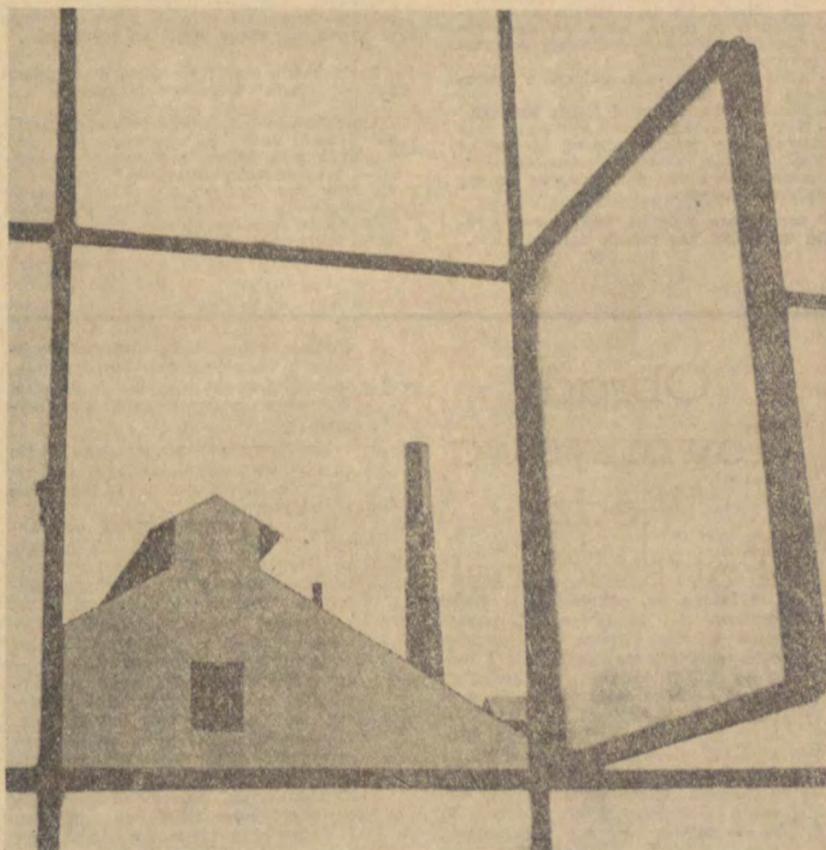
Sierp wyszczerbiony.  
Zorza zadźwięczała.  
Eos różowym palcem  
Uderzyła w stal.  
Pokaleczyła dłoń.  
To Matka Żniwa  
Pięknie, boleśnie, krwawo  
Porodziła dziecię —  
Boską garść żyta.

## Rodzinna woda

Zawsze — z tobą,  
Najrodzinniejsza jestem wodą,  
Strumykiem bytu —  
Spod tego wzgórza — od buków.  
Gdziekolwiek cię złożą,  
Będę tam — rzeczka —  
Matka-nieboga —  
Zawsze z tobą.

## Macierzanecki

Macierzanecki — o, drobnutkie.  
Jedna ze stępu, druga z miedzy.  
Swojaczki. Przez to że maleństwa,  
Że niepozorne — w sercu kwitną.



W redakcji „Odgłosów” odbyła się dyskusja na temat sytuacji wydawniczej 1967 roku. W dyskusji udział wzięli: **Prof. Bolesław Lewicki** — Uniwersytet Łódzki, **Jan Gierańczyk** — kier. księgarni „Pegaz”, **Tadeusz Chróścielewski** — pisarz i wydawca, ze strony redakcji „Odgłosów” — **Wacław Biliński** i **Jan Koprowski**. Poniżej zamieszczamy wybrane fragmenty z tej dyskusji.

**JAN KOPROWSKI:** Dyskusję tę zamierzamy poświęcić książce roku 1967. Chciałbym poruszyć tu dwie sprawy, na których pragnę skupić uwagę państwa.

Po pierwsze: jak przedstawia się ilość i jakość produkcji oryginalnej polskiej, widziana od strony producenta i sprzedawcy oraz od strony odbiorcy.

Po drugie: którą książkę roku 1967 uważamy za najciekawszą pod względem zawartej w niej problematyki a także pod względem artystycznym. Ponieważ w naszym gronie mamy wydawcę, pisarzy, księgarza i profesora — sądzę, że pozwoli nam to dokonać wyboru najciekawszej książki w sposób wszechstronny i, mam nadzieję, obiektywny.

**JAN GIERAŃCZYK:** Rok 1967 nie był dla mnie, jako księgarza, rokiem najlepszym. Wydano niektóre tytuły po raz drugi, ale mimo wznowień, żadna z tych książek nie pozostała na półce księgarskiej, nie pozostała nawet w składnicy. Zamówień na książki z literatury pięknej wysłałem w roku 1967 — 5.300 tytułów. Były to książki, które już miałem, i które chciałbym mieć na półkach. Trzy czy cztery razy ponawiałem zamówienie na ostatnie wydanie poezji Jasnorożkowej-Pawlikowskiej. Sprzedałem chyba 400 egzemplarzy — co, jak na poezję, stanowi zdumiewającą ilość. Orientuję się nie tylko na podstawie jednej księgarni, lecz także według stanu składnicy księgarskiej. Muszę zaznaczyć, że mam tylko 15 procent zafatwionych zamówień z tych 5.300 tytułów, 85 procent moich próśb zostało zafatwione pozytywnie. Powracając do tego, że nakłady były zbyt niskie, pragnę zauważyć, że w tych 15 proc., których mi nie nadesłano, znajdowały się najczęściej tłumaczenia z literatury obcych.

**JAN KOPROWSKI:** Czy to znaczy, że rok 1967 ocenia Pan jako niezbyt dobry?

**JAN GIERAŃCZYK:** Był względnie dobry, ale ja chciałbym więcej, pragnąłbym, żeby książki dobre nie były sprzedane do zera, lecz żeby egzemplarze te miał wciąż do dyspozycji.

**TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI:** Trudno mi siebie ustawić w tej dyskusji, bo jestem jednocześnie filologiem, wydawcą, czytelnikiem i obserwatorem. W Wydawnictwie Łódzkim rok 1967 był rokiem niezłym. Był rokiem niezłym, jeśli chodzi o ilość tytułów. W porównaniu z rokiem poprzednim, ilość tytułów wzrosła o siedem czy osiem. Był ten rok niezły jeśli chodzi o zjawiska następujące: pojawiło się sporo debiutów, prezentowani są i pisarze starsi i pisarze rzadko odzywający się, jak np. Janusz Skoczko, i w dalszym ciągu istnieje tendencja wzrostu zarówno w sensie artystycznym jak i w sensie aktywności u szeregu pisarzy, jak Roman Loboda, Jan Huszcza, przede wszystkim Huszcza. Pojawiają się debiuty wtórne. Znany nam dotychczas jako satyryk i poeta Tadeusz Giegler, zadebiutował z powodzeniem jako prozaik. Poza tym jakąś miarą, że pisarz spełnia swoje zadanie, że bierze udział w walce w przerabianiu zjadaczy chleba w aniołów, mówiąc trochę niemiódnie i używając trochę niemiódnych zwrotów retorycznych, jest fakt wznowienia na życzenie czytelników książek Jazdyńskiego, Szajnera, Gomoliczkiego i kilku pisarzy pozalódzkich. Znaczący to, że książki te spełniły swoje zadanie, że autorzy ci są potrzebni. Dla nas, pracowników Wydawnictwa, istnieją jak gdyby dwa czasy. Redaktor Wydawnictwa pracuje w tej chwili niejednokrotnie na poczet roku 1969, a w dyskusji naszej omawiamy książki z roku 1967. Nie jest to przeszłość tak stara, żeby z trudem sięgać do niej pamięcią, ale już przeszłość i jednocześnie przed moimi oczami rysuje się obecny rok wydawniczy. Jeśli chodzi o sytuację ogólnopolską, to w dłuższym ciągu trwają zjawiska kreowania niektórych autorów, niektórych nazwisk z egzaltacją, z akompaniamentem „hurra”, kreowania na wielkość sezonu, które następnie są zapomniane. Z drugiej zaś strony w dalszym ciągu trwa zjawisko niedostrzegania. To niezauważanie dotyczy pisarzy i warszawskich i z prowincji. Wydaje mi się, że w innych literaturach zjawisko niezauważania nie jest aż tak silne. Przykład: Saliński. Dopiero przed trzema laty zorientowaliśmy się, że jest to pisarz najwyższej klasy. Zambrzycki, znakomity pisarz, został zauważony dopiero przy końcu życia. Niezauważany jest jeden z najpracowniczszych pisarzy łódzkich, Jan Huszcza — dobry prozaik od małych form, gawędziarz, nowelista, jego utwory są na skale ogólnopolską, a mimo to krytyka literacka absolutnie go nie widzi.

**JAN KOPROWSKI:** A jak się przedstawia stosunek naszej twórczości oryginalnej do przekładów?

**TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI:** Złota proporcja „pół na pół” jest zachowana. Ale w Wydawnictwie Łódzkim jesteśmy pozbawieni możliwości wydawania książek tłumaczonych. Będę więc mówił o innych. W roku 1967, ze względu na rocznicę Rewolucji Październikowej, ukazało się dużo przekładów z literatury rosyjskiej. Przekłady bardzo szczęśliwe. Jak mówił Jan Gierańczyk — wszystko doskonale się rozszło. Cały szereg przekładów zapowiadanych jeszcze się nie ukazał, nie zdążono wydać na rocznicę.

I wydaje mi się słuszne, że Wydawnictwa nie posłużyły się błyskawicą, nie wydawały na „olaboga”. Myślę w tej chwili o antologii poezji rosyjskiej, która wyjdzie za kilka miesięcy nakładem Ossolineum, a która przez szereg lat była bardzo starannie przygotowywana przez Wiktora Woroszyńskiego. Ten rok przyniósł sporo ciekawych wspomnień z okresu Rewolucji Październikowej — wspomnień po latach. Niektóre z tych wspomnień ujawniają, że zmarłowane zostały znakomite pióra. Zdarza się, że starszek przy końcu życia mówi o wypadkach, które wydarzyły się 50 lat temu na sposób stary, paskowski, świetna, niesłychanie plastyczna proza. W każdym razie przez wiele lat brakowało nam tego tematu. Rewolucja widzianna nie oczyma wielkich dowódców, lecz oczyma szarego, biorącego w niej udział z pełnią świadomości człowieka, czasami miłego chłopca, którego cłagnie wojaczka.

**BOLESŁAW LEWICKI:** Ponieważ dotąd mówili producenci czyli strona oferująca literaturę — Wydawnictwo, pisarze, redakcja, pora teraz na uwagi odbiorcy i obserwatora. Wyczuwam pewną nerwowość rynku społecznego. Wyczuwa się jakąś wielką ostrożność w pisaniu, jakieś wielkie uwrażliwienie. Łączy się to na pewno z dzisiejszymi warunkami ekonomicznymi, z niepokojem w świecie. Mam wrażenie, że to wyczuwanie rynku doprowadzić może do jakiejś ostrzejszej wewnętrznej kontroli i czytelników i pisarzy, i tego co się nazywa rynkiem wytworzenia socjalnej.

Myślę, że społeczeństwo nasze dojrzało i przestało interesować je takie problemy

nowi już extra-klasę polskiej eselstyki historycznej. Kapitalna książka — ja typuję na książkę roku.

**JAN KOPROWSKI:** Ja też chciałbym dorzucić tu parę słów na temat polityki przekładowej, którą uważam za coraz lepszą. W omawianym roku przetłumaczono „Młyn Lewina” Johanna Bobrowskiego, który ma szczególne znaczenie dla czytelnika polskiego. Jest to książka o dużych walorach poznawczych i artystycznych. Inna, warta uwagi pozycja, to „Rabarbar” Pilhes’a, a takich pozycji dałoby się wymienić więcej.

**JAN GIERAŃCZYK:** Mój gust prywatny jest nieco inny od mojego gustu księgarza. Cieszę się książką dobrze sprzedaną, z której klient jest zadowolony. Dlatego muszą reprezentować gusty wielu klientów. Osobiście życzyłbym sobie, żeby było więcej polskiej literatury klasycznej, żyjemy jeszcze w atmosferze rocznicy Reymonta, a ja otrzy małem zaledwie 20 egzemplarzy „Chłopów” tego autora. Za najlepszą książkę roku uznał bym, podobnie jak red. Biliński, „Rzeczpospolita” Pawła Jasienicy. Poza wszystkim innym jest ona ładnie wydana pod względem edytorskim. Należą się wyrazy uznania dla PIW za wydanie „Mitów greckich”.

**BOLESŁAW LEWICKI:** Ja również głoszę za Jasienicą.

**JAN GIERAŃCZYK:** Jasienicy otrzymałem tylko 60 egzemplarzy, a zapotrzebowanie wynosi co najmniej 1000.

**TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI:** Przed kilku miesiącami byłem na zjeździe Pisarzy Ziemi Zachodnich. Te zjazdy rokrocznie skupiają kilkaset osób. Za każdym razem są referaty, omawiające tematy Ziemi Zachodnich, a potem dyskusje. Z referatu ubiegłorocznego wynikało, że nie ma o czym mówić, że z braku laku, na pisarza Ziemi Zachodnich pasowano Tadeusza Różewicza. Ołóż wygłaszający referat nie znał twórczości omawianych pisarzy, poza dużą kulturą artystyczną i wyczuciem słowa, człowiek ten niewiele miał do powiedzenia. Nie dostrzegam się Kazimierza Kowalskiego, nie ma mowy o Annie Markowej, która jest wielokrotnie nagradzana pisarką, nie wymieniamy się pracowitych olsztynian. Jeśli chodzi o moje propozycje do wyboru wybitnej pozycji roku, podpisuje się oburacz pod wnioskiem na książkę Jasienicy. Ale chodzi mi o książki inne, niezauważone. Chodzi o książkę nieznaną mi z działalności Heleny Rządzkowskiej „Marian Langiewicz”, wydana nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Książka bardzo odważna. Autor ka stawia pytanie co zrobić z Langiewiczem, z tą niepospolitą postacią, która mimo bardzo krótkiej i najkrwawszej w dziejach Powstania Styczniowego kampanii wytworzyła legendę. Langiewicz od samego początku był postacią kontrowersyjną dlatego, że cały szereg współczesnych mu pamiętnikarzy ciskało równą ilość gromów na generała, co i laurów. Rządzkowska dała dowód odwagi przeciwstawienia się pewnym sdom i spróbowała odkładać pewne fałszy i nieścisłości, dając wizerunek nieprzeciętnego patrioty, uczciwego człowieka, dobrego żołnierza, który na przestrzeni kilku tygodni był na ustach całej Europy, którego współcześni uważali za Napoleona, a który Napoleonem nie był. Z literatury historycznej popularnej, wymienilibym książeczkę o postaci, która jest dla mnie najpiękniejszą z pięknych, o księżcu Józefie. Jest to rzyż z Karola Koźmińskiego „Książę Józef Poniatowski”. Ładnie zbeletryzowana, uważam, że ma dużą wartość nie tylko poznawczą, ale i dydaktyczną; pokazuje człowieka, który stanowi jakiś wzór do naśladowania. Był to dobry patriota, z siłą charakteru, demokracja, który bratał się z żołnierzami, który w testamencie polewą swego majątku przeznaczył swoim wiarusom.

Z książek publicystów łódzkich dodałbym do mojej listy Sergiusza Jaśkiewicza „Wielki komtur atlantycki”. Bardzo ciekawa publikacja, uważam ją za mały bestseller roku. Następnie wysunąłbym książkę naszego świętego a niezjącego kolegi Jerzego Wyszomirskiego „Spod kreski”. Był to jeden z ostatnich świetnych klasyków felietonu.

**JAN KOPROWSKI:** Za ciekawe pozycje roku należy uznać chyba „Tristana 46” Kun cewiczowej i „Małowiernych” Putramenta. Chciałbym dorzucić również dwie inne pozycje z prozy artystycznej, wydane w roku minionym: Jerzego Zawłayskiego „Konrad nie chce zejść ze sceny” oraz zbiór opowiadań Wojciecha Żukrowskiego „Szczęściarz”. Obydwie są bez wątpienia książkami wybitnymi, ta ostatnia na szczęście — przez krytykę zauważona. Myślę więc, że rok miniony nie był rokiem złym. Mieliśmy książek sporo, a wśród nich rzeczy cenne i ciekawe. I to zarówno w kraju jak i na naszym najbliższym terenie — w Łodzi. Dziękuję kolegom za udział w dyskusji.

# Książka roku 1967

jak w sztuce „Mocne uderzenie”. Jest to, moim zdaniem, nieporozumienie pisarskie. Natomiast książka, która zrobiła na mnie duże wrażenie, jest „Niecierpliwość” Gerharda. Jest to próba ujęcia dziennikarskiego, publicystycznego. Sądzę oświadczyć, że powieść warsztatowa już się przeżywa, nie wiem, czy byśmy, na przykład, „Gumy” czytali dziś z takim zachwytem, jak przed paroma laty. „Niecierpliwość” Gerharda, mimo rozmaitych zastrzeżeń, jakie bym pod jej adresem wysunął, jest książką dojrzałą, pełną. Zaspokaja ona nasze zapotrzebowanie na pewien trochę realistyczny, didaktowski-volteriański typ pamfletu politycznego, a z drugiej strony jest ona jakimś atakiem na pewne przejawy życia społecznego. Jest to coś, co by można nazwać racjonalistyczną powieścią.

Świetną książką jest także, moim zdaniem, Kowalskiego „Walka Polski o miejsce w Europie”, oraz przekład francuskiej książki „Styl i odpowiedzialność” Callois.

**WACŁAW BILIŃSKI:** Pan Gierańczyk mówił tutaj, że rok 1967 był rokiem dość ubogim, jeśli chodzi o sprawy przekładowe. Jestem nieco innego zdania. Interesuje mnie od dawna literatura amerykańska. I otóż właśnie w 1967 otrzymałem 3-tomową antologię dramatu amerykańskiego, zakończenie serii Faulknera powieścią „Rezydencja”, ukazał się nowy Styron, książka McCullers, Malamuda, znakomity ciąg z „Farmy” Updike’a, która jest książką świetną. Uważam, że w dziedzinie przekładu zrobiono w tym roku wyjątkowo dużo i dobrze. Nie było tego, co cechowało lata poprzednie: drugo- i trzeciorzędnej literatury. Przekłady amerykańskie były w tym roku pierwszorzędne. Jedynie nakłady były za małe. Więc jeśli chodzi o przekłady, sprawa wygląda nieźle. Natomiast w dziedzinie publicystyki i eselstyki oryginalnej dwa tytuły warte są, żeby o nich wspomnieć: „Ten jest z ojczyzny mojej” — kapitalna książka, która wreszcie przerwa znowu milczenia, książka po prostu niezbędna. I bestseller numer jeden, czyli rzecz Pawła Jasienicy „Rzeczpospolita obojga narodów”. Po przeczytaniu tej książki Polak może się wypytować, może być dumny ze swojej historii. Pióro Jasienicy świetne w „Piastach”, znakomite w „Jagiellonach”, w tej książce sta-

## Dwadzieścia lat Wydziału Prawa

Uniwersytet Łódzki — pierwsza wyższa uczelnia powstała w Łodzi po wojnie — obchodzi już 20-lecie istnienia. Wraz z nim jubileusz święciły poszczególne wydziały, a szczególnie uroczystości — Wydział Prawa. Nic dziwnego, jest to jeden z najliczniejszych kierunków UE, w ciągu 20-lecia wykształcił prawie 3.200 absolwentów, którzy zajmują dziś stanowiska nie tylko w sądownictwie i placówkach pokrewnych, lecz także w wielu innych dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego Łodzi i kraju. Mimo że wielu z nich ukończyło Uczelnię wiele lat temu, mimo że wielu opuściło Łódź, łączy ich silna więź, której żywym dowodem jest m. in. nie słabnąca działalność Stowarzyszenia Absolwentów Wydziału Prawa i b. Wydziału Prawno-Ekonomicznego. To Stowarzyszenie właśnie, wydało z okazji 20-lecia Wydziału Prawa publikację (książkową\*) poświęconą zarówno wspomnieniom, podsumowaniu dorobku Wydziału, jak perspektywom i kierunkom dalszego rozwoju.

W krótkim wstępie od Komitetu Redakcyjnego czytamy m. in.: „Publikacja niniejsza nie stanowi chronologii Wydziału w pełnym tego słowa znaczeniu. Staraliśmy się, aby głos w niej zabralo możliwie jak najwięcej żywo związanych z Uczelnią profesorów oraz jej wychowanków, ażeby w ich wspomnieniach i ich oczyma odtworzyć historię i dać przegląd ważniejszych wydarzeń i kierunków rozwoju Wydziału. Pragniemy, aby z tych opracowań wyłonił się obraz Uczelni takiej, jaką była i jaką będzie w przyszłości. Obraz Uczelni, która zajmuje już dziś poważne miejsce w kształceniu kadr pracowniczych i administracyjnych i której emancypacja naukowa i kulturalna w środowisku łódzkim i pozalódzkim jest bezsporna”.

Wśród 25 autorów, którzy zamieścili w książce swe publikacje, znajdujemy nazwiska takie jak prof. dr Tadeusz Kotarbiński, prof. dr Józef Piątkowski, prof. dr Mieczysław Siewierski, prof. dr Borys Lapiński, prof. dr Remigiusz Białozanek, dr Kazimierz Kąkol i inni. Ta starannie i estetycznie wydana książka jest nie tylko interesującą lekturą dla wszystkich bezpośrednio zainteresowanych. Stanowi również cenny wkład do monografii Łodzi naukowej.

T. W.

\* Dwadzieścia lat Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. 1967 r.



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje



„Retoryka” — obraz z połowy XVII wieku.

## LA. PRECISITE ZNACZY WYKWINTNOSC

W paryskiej Bibliotece Narodowej otwarta została wystawa, której tematem jest styl życia zwany „la préciosité” (wykwintność). Okazją do tego rodzaju oryginalnej i ciekawej wystawy jest 400-lecie urodzin Honoriusza d'Urfé, autora słynnej pastoralnej powieści „Astrea” (1607). Książki która wywarła ogromny wpływ na całą literaturę francuską i na obyczajowość francuskich warszaw uprzewilejowanych. Powieść „Astrea” ma za tło wiejski, pasterski krajobraz, w którym rozgrywa się sentymentalna historia miłości między pasterką Astrea, a pasterzem Caidonem. Ich uczucia nie wiele miały wspólnego z rzeczywistością francuskiej wsi, ale autor „Astrei” wykazał wiele wnikliwości psychologiznej.

Styl „la préciosité” nie ograniczył się jedynie do literatury lecz zaczął przenikać do obyczajowości, był reakcją na prymitywizm obyczajów dworu Henryka IV. La préciosité było to dążenie do nadania wytworności językowi i zachowaniu się, chęć zdobywania wiedzy, wysubtelniania myśli, uczyć i pojąć. W ruchu tym poważną rolę odegrały kobiety, toteż

uznać się można za ruch feministyczny. Kobiety zaczęły się domagać większych praw w dziedzinie obyczajów jeśli na wet nie równouprawnienia decydowania na równi z mężczyznami w sprawach kultury i sztuki, prawa wreszcie do zdobywania wiedzy nie tylko humanistycznej, ale i w zakresie nauk przyrodniczych i ścisłych. Ruch ten wzbogacił język francuski i jakkolwiek miał wiele pozytywnych wartości prowadził jednak do manieri i pretensjonalności, snobizowania się, zwłaszcza wśród arystokratów do „wielkiego świata” prowincjonalnych mieszczuchów. Został więc wymyślony m. in. przez Moliere w jego „Pociesznych wykwintniactwach”. Przeciw „la préciosité” występował także Boileau.

Wystawa w Bibliotece Narodowej zgromadziła około trzystu eksponatów, głównie portretów i przrządów naukowych, książek i innych dokumentów siedemnastowiecznych.

## ANTOLOGIA POEZJI WIETNAMU

„Spalony lotos” — taki jest tytuł antologii poezji Wietnamu, która ukazała się w wydawnictwie „Białorus”. Wiersze tłumaczył Jacek Siemczon, znany na Białorusi tłumacz na język o

czysty dzieł Szekspira, Byrona Burnsa i innych pisarzy. Jacek Siemczon powiedział do przedstawicieli tygodnika „Literaturna Gazeta”, że w sporządzeniu antologii pomagał koledy pisarzy z Demokratycznej Republiki Wietnamskiej, którzy nadsyłałi książki współczesnych poetów wietnamskich i czasopiśma wydawane przez Narodowy Front Wyzwolenia Południowego Wietnamu. W antologii reprezentowanych jest około 30 współczesnych poetów Wietnamu począwszy od fragmentów „Wieżniennego dziennika” prezydenta Ho Chi-Minha, dzieła dobrze znanego czytelnikowi radzieckiemu w przekładzie Pawła Antkolskiego, do wierszy młodych wietnamskich poetów-żołnierzy.

## KTO OTRZYMA „ZŁOTA NIMFA”?

Dwadzieścia osiem krajów bierze udział w ósmym Międzynarodowym Festiwalu Telewizyjnym w Monte Carlo. Po raz pierwszy w Festiwalu bierze udział: Arabia Saudyjska, Kolumbia, Grecja, Kuba, Maroko i



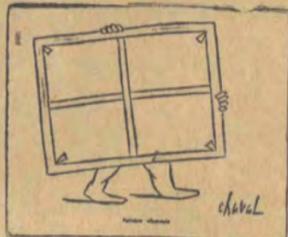
Tunis. Wyświetlanych ma być 81 filmów telewizyjnych zarówno kolorowych jak i czarno-białych. Nagrodą dla zwycięzców będzie „Złota nimfa”.

## SMIERĆ RYSOWNIKA

Znany rysownik satyryczny Chaval, popełnił samobójstwo. Właścicielem jego nazwisko brzmiało: Yvan Le Louarn. Urodził się w 1915 roku w Bordeaux. Po studiach w szkole sztuk pięknych poświęcił się



Rozgniewany malarz David, gdy Madame Récamier poruszyła się.



Malarstwo abstrakcyjne.

malarstwu ale wkrótce porzucił tę dziedzinę plasując się zajmując się wyłącznie rysunkami humorystycznymi i ilustrowaniem książek. Jego styl bardzo swoisty i oryginalny, jego specyficzny humor zapewniły mu jedno z pierwszych miejsc wśród rysowników francuskich.



Rysunki A. Tarana do dzieł Gorkiego.

## W STULECIE URODZIN GORKIEGO

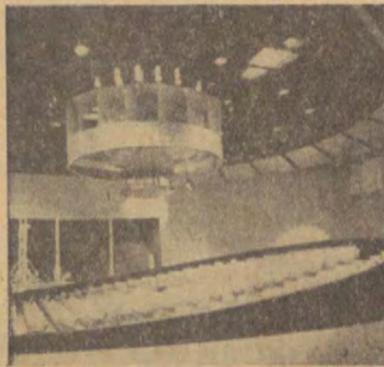
W marcu br. przypada setną rocznicą urodzin wielkiego pisarza radzieckiego Maksyma Gorkiego. Z tej okazji w Związku Radzieckim przygotowuje się szereg uroczystości i wiele imprez kulturalnych. Wy-

dawnictwa przygotowują jubileuszowe edycje dzieł Gorkiego. M. in. ukazuje się w 25 tomach nowe wydanie dzieł Maksyma Gorkiego. „Obecny rok — czytamy w „Literaturnej Gazecie” — to rok Gorkiego i dla artystów kustrujących książki. Oni także uczestniczą w pracach związanych z jubileuszowymi edycjami”.

## W MIEŚCIE STENDHALA

Grenoble, gdzie urodził się i spędził lata młodości Henri Beyle (Stendhal) stało się ośrodkiem zainteresowania dzięki zimowej olim-

tograficzne, sale dla dzieci i sale kinowe i wreszcie supernowoczesna sala teatralna obliczona na 538 widzów. Konstrukcja tej sali to wynik wielu lat prac badawczych których celem było najracjonalniejsze i najnowo-



„Ruchomy” teatr w Domu Kultury w Grenoble.

piądzie. Prasa francuska poświęciła wiele miejsca zarówno opisom przygotowań do Olimpiady, jak też i sprawom kulturalnym tego miasta. „L'Humanité” pisze o nowoczesnych gmachach, architektura miasta o 14 rzeźbach z betonu kamienia, metalu drewna, jakie zdobią miasto i o rzeźbie-stabilu Caldera, polyskującej w świetle słońca na tle górskiej panoramy. Tygodnik „Les lettres françaises” pisze szczegółowo o Domu Kultury posiadającym najnowsze urządzenia. Jest to olbrzymi zespół budowlany o powierzchni 4 tysięcy metrów kwadratowych, o kubaturze 85 tysięcy metrów sześciennych. Dom posiada rozmaite sale, bibliotekę, płytotekę, studio fo-

zyczeńsze rozwiązanie przestrzeni teatralnej. W dźwięwie zasładają w centrum tej przestrzeni, na płaszczyźnie obrotowej. Osią ich pierścieni równie ruchomej sceny, która obracać się może z dowolną szybkością. Dzięki tym wszystkim urządzeniom widz może być więc poza akcją sceniczną na wprost niej lub w samym jej środku. Za letnie od koncepcji reżyserskiej.

Program imprez kulturalnych podczas Igrzysk przewiduje m. in. występy baletu pod dyktando słynnego Maurice Bédjarta, sztuki Becketta „En attendant Godot”, sztuki Michel Butora pt. „6.810.000 litrów wody na sekundę” i koncerty muzyczne.

## ROMAN ŁOBODA

# „ZIELONY GIL” w Teatrze 7.15

Ktoś napisał o „Zielonym Gilu” że jest to wciąż jeszcze zadziwiająco świeża sztuka i słusznie. Uśmiechamy się setnie. Był to jednak rodzaj śmiechu... Bo proste państwa wydaje mi się, że są różne rodzaje śmiechu. Człowiek obdarzony poczuciem humoru, który dopracował się kilku „kubków smakowych” a ma przy tym i ucho, może potwierdzić, że różne brzmiał jego i temu podobnych śmiech jako reakcja na ośmienne konwencje komediowe. Początkiem i sola komedii jest sytuacja.

Zreżymowana intryga to już bardziej wyszukana przyprawa komedii. Niemniej jednak i ona (intryga) jako postawowa budulec konwencji jest

na tyle wczesna, że może dziś epatować świeżością. „Zielony Gil” Gabriela Telleza piszącego i znanego pod nazwiskiem Tirso de Molina, to komedia wystawiona w Madrycie około 1617 r. a więc trzysta pięćdziesiąt lat temu. Zadziwiająca jak niezniszczalne są proste mechanizmy bawienia i rozśmieszania, oparte na sytuacjach i spłotach sytuacji: ba, niekiedy, przez oddalenie nabierają szczególnego uroku i smaku.

Piękny gładki i pełen „szuchek” wiersz Tirso de Moliny w transkrypcji Juliana Tuwima, jednego z najprzejrniejszych żonglerów słowa, nie traci ze swego blasku i w naszym stuleciu. Piękny wiersz okraszony muzyką i śpiewem, zabawne sytuacje i równie zabawny w swej na łąności ich spłot sprawia, że dynamicznie bawimy się w „Zielonym Gilu”. Przede wszystkim bawimy się. Nie jest to śmiech spontaniczny czy rubaszny, nie jest podszyty ironią ani dezaprobata, smutkiem zaduma czy niepokojem, jest to śmiech towarzyszący zabawie.

Znawszy obyczajów demonstrowane przez autora „Zielonego Gila” niewiele ma wspó-

nego z krytyka tych obyczajów, a jeżeli frywolność i dość wyraźna amoralność „Gila” miała być aktem przekory i reakcją na ówczesną „surowość obyczajową” i nietolerancję, to chyba wydaje się, głównie przeciw surowości i nietolerancji religijnej i politycznej. Tak zwane związki z „rozsadku”, czyli pogon za majątkiem pozycja nie wydają się czymś, co mogło napaść obrzydzeniem Tirso de Molina. Wreć odwrotnie. Don na Diana de Solis z wdziękiem beztróską i z ujmującą (widownie) swobodą ściga, zdawałoby się już upolowanego na męża, młodego Don Martina, który porzucał ją, ruszył w Konkury do Donny Inez uwiedziony kiesia jej ojca.

Ewa Mirowska w damskomieskiej roli ma szerokie pole do popisu aktorskiego i nie zaprzeczając tej szansy. Wszystkie „przmioty”, którymi obdarzył Tirso de Molina Donnę Dianę Mirowska prezentuje z werwą i pewnym zmużeniem oka, co pozwala nam zanotować że w gruncie rzeczy Donna Diana jest uparta i pozbawiona skrupułów, i ambicji łowczyni męża. Andrzej Herder to brawuro-

wy Caramanchel. Temperament, zreżymowana swoboda i ta kież, jak u Mirowskiej, „zabawowe” traktowanie roli nie przeszkadzają Herderowi w panowaniu nad czystością dykcji i gestu.

Caramanchel to sowidrzal uprawiający carpe diem, i nie rzadko popisujący się dowcipami z filozoficznym podtekstem. Donna Diana w zielonym, mskim stroju, udająca don Gila współ ze swoim służącym Caramanchelem tworzą duet pełen wyrazistości. Drugi duet to Alieja Zommer w roli Donny Inez i Zbigniew Płoszaj jako Don Ricardo, jej zalotnik.

Adcja Zommer wysoko dźwierz czar kobiecości i jego (tego czasu) ówczesna gracie, nie na tyle jednak by powszechna swawolność doznała z jej powodu uszczerbku. Płynność ruchów artystki i stódcy głosu wydatniały ton balladowy sztuki. Płoszaj parodiuje te balladowe zarówno ogólnym rysunkiem postaci jak i środkami ekspresji. Dosadność i bujność cechująca jego interpretację dobrze kontrastowały z quasi liryzmem Donny Inez.

W zasadzie ten kwartet, bawiąc się razem z widownią,

nadaje ton kolorystyki sztuki co niewątpliwie leżało w założeniach.

Józef Łodyński jako Quintana, Zbigniew Jabłoński (Don Pedro) Zelisława Małska (Aguilar), Bożena Darłakówna jako Donna Clara, Krzysztof Różycki (Don Martin) Karol Obidniak (Osorio), Zygmunt Urbanowski (Don Diego), Janusz Krawczyk Marek Sobczyk i Ludwik Kasendra wszyscy wyznegli się do pełnej wdzięku, beztróskiej zabawy. Tróška zjawia się do piero później, gdy śmiech i śmiech już nie brzmią w uszach. Intryga która jest trzonem utworu, choć naiwna, jednak niezbyt budująca w rzeczy samej i niezbyt krzepiąca w rzeczywistości.

Spektakl ma styl i tu ukłóń w stronę reżysera Barbary Jaklicz, scenografa Ewy Sobolowej i choreografa Barbary Fijewskiej. Muzyka: Marek Andrzejewski. Układ pojedynków Waldemar Wilhelm.

Tirso de Molina — Julian Tuwim: „Zielony Gil”, 7.15. Druga Scena Państwowej Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi.

## BEZ STRACHU

### TWÓRCZOŚĆ

Twórczość jest najskrajniejszym zaprzeczeniem automatyzmu. Poczynania twórcze, to szereg realizowanych pomysłów, poczynanie automatyczne, to szereg realizowanych nawyków. Twórczość można przenieść w każda dziedzinę życia — można twórczo odbywać spacer, można, oczywiście, spacerować nietwórczo — automatycznie. Ten kto spaceruje, ogląda mijany teren — ziemię, drzewa, budynki, spo gląda na obłoki — myśli o ruchach własnego ciała, świadomie pogłębia oddech. Ten kto spaceruje automatycznie zamienia o własnym spacerze — opanywany myśla nie tycają spaceru, zdaje się wyłączać na dalo — jego spacer jest wyłącznie fizyczny, podczas gdy spacer twórczy angażujący i ciało i psychikę ma charakter psychofizyczny. Wcale nie chce przez to powiedzieć, że spacerujący nietwórczo nie jest aktualnie zajęty problemami jakiejś innej „pozaspacerowej” dziedzi ny, może to być np. matematyk rozstrzygający w czasie spaceru swoje specyficzne zadanie. Twórczość jest aktem zachłannym, dążącym do wyłączenia posiadania psychiki twórczego w chwili twórczenia. Nikt nie jest „malarzem i poetą” jednocześnie — zdarzają się natomiast twórcy, którzy po fazie malarskiej twórczości przechodzą do fazy poetyckiej — twórczość jest podzielna na przestrzeń życia twórcy, jest natomiast niepodzielna w aktach twórczych. Twórczość — produkt twórczy nie musi być przedmiotem zobiektywizowanym, jak rozwiązane zagadnienie matematyczne, muzyczne, jak obraz i wiersz. Produkt twórczy może być wyłącznie jakimkolwiek utwórzającą notacją. Może istnieć twórczość w preparowaniu własnej osobowości i nowym oddziaływaniu w kon taktach towarzyskich osobowocia przetworzona. Nowa forma uprzejmości, nowa forma powagi — materiałem, z którego korzystnie można budować osobowość uprzejmą, osobowość poważną, jest zyciowość do ludzi. Posuwając się o krok w rozumowaniu, dojść można do stwierdzenia, że warunkiem umożliwiającym zyciowość do ludzi jest brak strachu. Ludzie, zwłaszcza tak zwani „prości ludzie” oraz ludzie młodzi, znakomicie wyczuwają zyciowość zyciowości współczesnego skomplikowanego człowieka jest osobliwym stopem elementów naturalnych i autentycznych z elementami wytworzonymi przez długotrwały proces samogwałtowania życia innych ludzi. Zaprzeczeniem zyciowości nie jest nienawiść, ani obojętność — zaprzeczeniem zyciowości jest strach. Ten, kto przebywa długi z ludźmi, przed którym odczuwa strach — zaczyna błądzić — bowiem — postawa błązna umożliwia w sposób szczególny markowanie innych postaw. Błązna nie nie obowiązuje — błązen jest bezpieczny, jest niekaralny, zawsze może wycofać się w swoje bezpieczeństwo — ba! nie potrzebuje się wycofywać, bezpieczeństwo w swej istocie jest już do dalekiem od ludzi — błązanie to istota zyciowości. Wśród dawnych zawodowych błąznów — wielu było błąznami pozorym. Często byli to ludzie bardzo zyciowi, roztropni i wierni w stosunku do tych, przed którymi błąznowali. Takim błązmem był wspierający ludzi Dyl-Sowidrzal, a u nas historyczny błązen — w istocie zyciowości — ludźmi Stańczyk. Wierność błąznów była ich godnością. Współczesny niezawodowy błązen — wielokrotnie zamaskowany tórcz, jest odstręcający — maksymalnie nietwórczy, automatyczny człowiek. Człowiek współczesny dochodzi do zyciowości, która jest najwyższym produktem twórczości przez uporczywą pracę, a jednak produkt jego jest w odbiorze prosty. Twórczością można się zajmować w sposób twórczy, bądź dokonywać automatycznej analizy poszczególnych jej form i postaci. Twórczość o twórczości wcale nie jest twórczością wyższego rzędu, twórczość o twórczości — to twórczość zazwyczaj poślednia, granicząca zazwyczaj z poczynaniem automatycznym. Dzieje się tak dlatego, że ci, którzy tworzą o twórczości — krytycy twórczości są ludźmi owej „pierwszej” podstawowej twórczości raczej niezyciowymi. Obecny fenomen nie jest twórczy, jest świadomie oschły i maksymalnie automatyczny — nie jest przeciw maksymalnie nietwórczy, to jest automatyczny. Legitymuje się może malednia iskerka zyciowości i to wszystko.

BERNARD SZTAJNERT

# TRAJDOS

## Dalszy ciąg ze str. 1

prawda, ale fakt faktem, że Trajdos był skazany na „Mamuta”. I to w najlepszym razie. W najgorszym groził mu chodnik i zebrać czapka. Na chałturę nikt go nie chciał godzić. Chłopaki mówili, że byłaby poruta, przykry widok dla gości, taki niewidomy muzyk na estradzie.

Też tak myślałem. A jednak właśnie ze mną grał Trajdos swoją pierwszą i ostatnią chałturę. Ale opowieść wszystko od początku. To było przed Sylwestrem. Miałem umowę z jednym zakładem na dziesięć tysięcy i szukałem manekinów, takich muzyków, co niewiele potrafią i jeszcze mniej kosztują. Z basistą nie było kłopotu: namotałem pewnego studenta, który całkiem przyzwoicie markował uderzenia piccicato. Perkusistę kupiłem za tysiąc, a pianistę, na pianistach nie należało oszczędzać, za dwa. Brakowało tylko melodyka. Z tymi jest najgorzej. Saksofony poszły w górę, szczególnie tenory, skrzypkowie cenili się po trzy tysiące a harmoniści po cztery. Na coś takiego nie mogłem sobie pozwolić. Sylwester jest tylko raz do roku i raz w roku można porządnie zarobić. Liczyłem, że kupię sobie po Sylwestrze nową trabkę. Więc jak tu ładować tyle pieniędzy w jednego muzyka. Postanowiłem spryciarzy wycześć. Zbiegło tak kilka dni, w nerwach i niepokoju. Nie spałem po nocach, już od rana przesiadywałem na gładzie trzymając się sztywno taryfy. Potem zacząłem się gładzić, bo Zygzak i Monej kupili ostatnie rezerwy. Zygzak skaperował Krzywika, altowego saksofonistę, a Monej skrzypka o nazwisku Parczewski, na którego bardzo stawiałem. Na dodatek wypadł z moich planów pewien początkujący klarncista, łamiąc obie nogi na ślizgawce. Został Trajdos. Biłem się z myślami... Ale czas naglił. Trzydziestego pierwszego grudnia wszedłem „Pod Mamutą” z troską, że Trajdos też już ktoś obstawiał.

Siedział jak zwykle obok toalety i grał, a wilocyca leżała płasko na podłodze. Ubrany był marnie; stary, niebawale rozciągnięty pulawer i spodnie z caju postrzępione w nogawkach. W tym stroju nie nadawał się na bal. Za to akordeon wyglądał wspaniale, Weltmeister sto dwadzieścia basów z krwistą okładziną, wielki jak szafa. Przedarłem się do bufetu, zamówiłem wódkę i patrzyłem. Tego popołudnia przed Nowym Rokiem Trajdos nastawiony był pogodnie. Co i raz goście weiskali mu do kieszeni trochę grosza, a on fundował całej kłajnie różne wesole melodyjki: „Sza! dzie weczka”, „Góralu” i „Czerwone maki”. Namyslałem się, jak tu z nim zagaic. Wreszcie zdjąłem z bufetu dwie setki, podszedłem i złożyłem mu życzenia. Poznał mnie po głosie, trafilimy się szkłem. Wypił po swojemu. Wtedy zapytałem, czy nie zagrał by na Sylwestra. Skłopotał się, aż nieprzyjemnie było patrzeć. Przypuszczam, że to z powodu ubrania. Powiedziałem:

— O garnitur możesz się nie martwić. Po żyć ci czarnego smoka. Wszyscy będziemy w czarnych smokach, żeby wyglądać jednolicie.

— Przecież nie o to chodzi! — oburzył się Trajdos. — Mam w domu porządne ubranie. Ale co zrobisz z psem? Chyba żebyż moź na z psem?

Pies wyczuł, że o nim mowa. Patrzył na mnie. Wrednie. Z bezczelnością człowieka.

— Pies zostanie w domu!

— No tak, ale wiesz, nie mogę...

— Co nie możesz. Podrzucisz mu trochę szperki i już!

— Kiedy ja bez niego nie trafię.

— Trafisz. Przyjdę po ciebie.

— A rano?

— Odwiozę cię rano.

Odpaliłem wszystkie jego argumenty, więc umilkł zaciskając bezradnie ręce. Wiem. Pies i on byli przyjacielmi. Jeden prowadził drugiego przez labirynt mroku. Ale czy mogłem pozwolić, żeby taka bestia straszyla nie gości w sylwestrową noc?

— Dam ci tysiąc złotych.

— Dobra, ale jak ja to przetłumaczę psu?

— Jakoś tam przetłumaczysz.

I przetłumaczył jakoś. Kiedy przyszedłem do niego wieczorem i wychodziliśmy, stara wyleniła wilocyca, trzymająca się zawsze Trajdosowych nóg, leżała nieruchomo przy piecyku obłożona pętami tustej kiełbasy i nawet nie rzączyła na nas spojrzec.

Jeszcze przed wyjściem Trajdos wygrzebał z kąta białą laskę.

— Zostaw — powiedziałem. — Nie trzeba.

— Czemu?

— A, co tam... — włożyłem mu na oczy modne, słoneczne okulary z podpalanym szkłem. Nie stroilo to zbyttno z dwurzędowym ubrankiem o szerokich kłapach i twar do wywatowanych ramionach, ale zawsze...

oczy, i kazałem mu patrzeć prosto przed siebie, bo z boków padały na scenę dwa rażące snopy światła z ogromnych jupiterów i żaden normalny człowiek, nawet w słonecznych okularach, nie mógłby tego znieść. Gdy wszystko było gotowe, rozsunąłem kurtynę i rozkazałem studentowi sprawdzić mikrofon. Trajdos wiercił się niespokojnie na krześle, zagryzał spieczoną usta i przebiegał bez dźwięku klawiaturę, nerwowe progresje. Dałem mu sto gram na pewno siebie. Wypił podług własnego rytuału i zapytał:

— Patrzy ktoś na mnie?

— Gdzie tam!

— I nie ma poruty?

— Człowieku! — powiedziałem — Wyglądasz jak Wild Ben Morton.

— Kto to jest?

— Najlepszy akordeonista świata.

— Eh — powiedział i twarz nabiegła mu krwią z uciechy.

Zaczęliśmy wieczór wiązaną bostonów. Trajdos kiksował z początku. Był stremowany i drżały mu ręce. Ale z czasem zapamiętał nad sobą i robiłmy naprawdę niezłą muzykę. Pary na parkiecie rozgrzewały

nad sobą kontrolę. Co usłyszał w pobliżu mój głos, to krzyczał, że można by zrobić doskonałą, najlepszą w mieście kapelkę; parę prób, krzyczał, i będziemy mogli występować nawet w telewizji. Drażnił mnie. W dodatku zaczął szarżować w graniu. Był pierwszorzędnym, prawda, lecz niepotrzebnie zwrócił na siebie uwagę. Zagrał karkołomny be bop Gillespiego i na wzór niektórych bopowców mrucał do wtóru jakieś paradne sylaby. O... Oh, bab czy bab, a kługa gum... To było przyczyną zamieszania. Przy estradzie tańczyła ze swoim kulturytą Hanka, z „Łodzianki”, i Trajdos musiał na nią zadziałać. Słuchała, zahipnotyzowana, z otwartymi ustami, a kiedy Trajdos rozpoczął mrucać, zdziżyła, jej oczy i ustala w tańcu z kulturytą. Schodziłem akurat na parkiet z siostrą studenta, a Hanka do mnie:

— Ty, co ty tak się obłaszasz po kątach, a on się męczy!

— Kto?

— No, harmonista!

— Nie twoja sprawa!

— Co, nie moja! Ja ci zaraz pokażę, czy nie moja!

Wyrwała się kulturyście wbiegła na estradę i ciągnie Trajdosa do tańca. On, spocony, przed chwilą szczęśliwy, z rozciągniętą na kolanach harmonią — nie wiedział, co się dzieje. Powiedział: „Puść, puść!” i zaparł się w podłogę brązowymi półbutami; lecz podłoga była śliska, a buty na skórze... upadł przywalony skomlącym akordeonem, zgubił okulary, a kiedy dźwignął się na nogi, Hanka zobaczyła jego puste, zatrute oczy i zaczęła wyc. Podbiegł pianista, uderzył ją w twarz. I na sali zaległa cisza. Hankę zdjął ze sceny kulturyta. A my wszyscy, muzyki i goście, patrzyliśmy na Trajdosa: jak podnosi akordeon, jak obmacuje troskliwymi rękami klawiaturę, basy, registry, miech i okładziny z masy perłowej czerwone od krwi...

A potem cisza pękła jak sylwestrowy balon z kaczołem Donaldem. Podskoczył organizator i zaczął krzyczeć, że od razu przeczekał hec, moja wina, bo oślepił nie należy kontraktować; trzeba mieć rozum, krzyczał, a nie sieczkę w głowie, tu, tu! — i walił się w czoło grubym paluchem. Powiedziałem, żeby zszedł mi z oczu, gdyż znam swoje obowiązki. Zebrałem chłopców i próbowałem rzetelną muzyką uratować nastroj. humory ludzi, którzy zapłacili ciężką forszę i mieli święte prawo do beztrudnej zabawy.

Ale nastroj nie wracał.

Kilka par wyszło, sala otrzęwiała, natretni patrzyli na Trajdosa, który przesuwał się z krzesłem w głąb estrady, jakby pod naporem ludzkiego współczucia, znowu był biały, drżały mu ręce, znowu kiksował nie trafiając na klawisze i pocił się mocno pod krzyżowym ogniem reflektorów. Więc ogłosiłem krótką przerwę, zaciągnąłem kurtkę i wyprowadziłem go w mrok za kulisami, a potem, już do końca graliśmy bez niego. Piłem, całowałem siostrę studenta, pytała czy pójdę z nimi, a ja mówiłem: tak, oczywiście, pójdziemy, a przecież miałem odprowadzić Trajdosa... Mój Boże, gdyby czas zechciał się wrócić. Bo wtedy zgłupiałem. Gryzłem się, prawda, ale od razu wiedziałem, którą pójdę drogą.

— Trajdos.

— No.

— Pojedziesz do domu z pianistą.

— Dobra.

— I jeszcze kiedyś zagramy.

— W porządku — uśmiechnął się. Ale nie wspominał, że można by zrobić doskonałą kapelkę.

Kiedy po chałturze rozliczałem orkiestrę, dałem Trajdosowi o czterysta złotych więcej. Wciąż się gryzłem. Więc zdziwiłem mu setkę, a po chwili jeszcze jedną. I nagle zrozumiałem, że nie chodzi wcale o pieniądze, że tu trzeba zrobić coś innego.

I co zrobiłem?

On poszedł w swoją stronę, ja w swoją. Pozwoliłem mu odejść, i zginął w ciastnej, zaśnieżonej ulicy, uceplony ramienia pianisty.

Nigdy już Trajdosa nie widziałem.

Przestałem chodzić na giełdę „Pod Mamutem”, gdzie grał jeszcze parę lat we wnące pomiędzy szatnią a toaletami.

Podobno zawsze w grudniu, przed Sylwestrem, wypytywał o mnie chłopaków.

Pewnie wierzył, że nadejdzie dzień, kiedy znowu wyciągnę go z knajpy i zaprowadzę na prawdziwą scenę, pod gorące światła jupiterów.



Twarz była w porządku, gładko wygolona i ścięta wodą kolońską — nie wiem, kto go tak oporządził; nie pytałem.

Do zakładu pojechaliśmy taksówką. Na progu wzięłem od Trajdosa akordeon a dałem mu trabkę. Łżejsza. Trzymał mnie pod ramię i szliśmy ostrożnie przez szeroką, jasno oświetloną salę wymijając grupki ludzi. Nieszczęściem za kulisy prowadziły schodki i Trajdos potknął się, wypuszczając trabkę. Zobaczył to organizator i do mnie:

— Ten pan jest pijany.

— Skąd!

— To co tak idzie jak lunatyk.

— On już tak chodzi.

Organizator podszedł do Trajdosa i wyciągnął rękę:

— Czołem.

— Czołem — powiedział Trajdos, ale ręki nie podał.

— Co! — krzyknął organizator. — Smierdzi panu moja ręka?!

Wzięłem go na bok i mówię:

— Nie śmierdzi. On jest niewidomy.

— Jak to; niewidomy?

— No, ślepy.

— To źle. Ludzie się spesza.

— Nikt nie pozna. Wszyscy będziemy dla niepoznaki w ciemnych szklach.

Pokreślił głową, czknął pierwszą sylwestrową wódką i odszedł. Wtedy zaciągnąłem kurtynę, aby odciąć się od sali i w spokoju rozstać orkiestrę. Trajdos usadowiłem z tytu obok bębnow, żeby nie rzucał się

się z wolna napuszone w balowych strojach — wódka robiła swoje.

— Wiesz — mówił Trajdos w przerwach — mógłbym zawsze grać z tobą.

— Tak?

— No! Moglibyśmy zrobić doskonałą kapelkę. Tak jak tu stoimy, w piątą; poprobować kilka razy i będzie doskonała kapelka.

— Pomyśl — powiedziałem, bo co miałem powiedzieć. Akordeon nie mieścił się w moich planach. Lecz żal było tego ślepa, kiedy siedział nieruchomo pod gorącym światłem jupiterów i pot mu się skraplał na czoło. Wiedziałem, że powinien odpocząć. Ta nieustanna kwarcówka wypalała w nim siły. Więc gdy wybiła północ, ogłosiłem pół godziny przerwy, zaciągnąłem kurtynę i poprowadziłem Trajdosa w mrok za kulisy. Tam złożyliśmy sobie życzenia. Wszyscy. Student był z narzeczoną i z siostrą, która pocałowała mnie niechętnie. Też ja pocałowałem w mokre, gorące usta. Zobaczył to student i był zadowolony. Powiedział, że po Sylwestrze możemy jechać do niego w czwórke, gdyż ma wolne mieszkanie. Powiedziałem, że fajnie, a przecież miałem odprowadzić Trajdosa... Człowiek, to przy dziewczynach głupieje. Już do końca chałtury, w każdej przerwie wyciągałem siostrę studenta za kulisy i całowałem się mocno, ale nie więcej, bo ona prosiła o ciepłowość. Skołowany, zapomniałem uważać na Trajdosa. A on, dobrze już pod gazem, tracił

ANDRZEJ MAKOWIECKI



## Lewym okiem

### SPECJALNOSC: JAJECZNICA

Jednak nie da się uniknąć w felietonistycie tematu gastronomicznego. Pcha się pod pióro na siłę i rób co chcesz. Skoro nawet tak poważny organ jak „Polityka” zamieszcza na połowie kolumny sprawozdanie poważnego publicysty, Jerzego Urbana, z degustacji różnych wymyślnych kombinacji smakowych, których nikt nigdy nigdzie poza tą degustacją nie spotka, to pozwólcie jeszcze raz i w tym kąciku...

Ale tym razem prawie, że pozytywnie. Prawie radośnie. Oto mamy już lokale z daniami staropolskimi. Oto czytaliśmy, że w „Eldorado” podawać się będzie specjalności kuchni węgierskiej,

w „Artystycznej” — żydowskie przysmaki, na wyspie Wolin w karczmie, budowanej na bazie prastarych wykopalisk w stylu Piasta i Rzepichy jadać będziemy — według obietnicy — prasłowiańskie polewki i dziczyznę, w Warszawie, Zakopanem, Nowym Sączu już szykuje się lokale z folklorem (choć nie wiemy, co to znaczy, podajemy za wiarygodnym źródłem), już trzymamtu kucharzy „Orbis” zdato egzaminu z potraw angielskich, francuskich, rosyjskich. W szwajcarskiej „Europie” pomyślano nawet o specjalnym menu dla osób odchudzających się. Cóż za bogactwo pomysłów, jaki szalony wybór rozkoszy podniebiennych. Dlaczegoż więc to zastrzeżenie: prawie pozytywnie? Prawie radośnie? W warszawskiej „Staropolskiej”, gdzie w wielkiej szybkości wstawowej wisi parujęjący anons o serwowaniu dań staropolskich, karta niedzielna obejmuje trzy pozycje: pieczeń cielęcą z marchewką, rumsztyk z pieczarkami i sznyceł z jajkiem. Ponadto dwa staropolskie zupy: pomidorowa i rosół. Kelner wyjaśnia polskiej publiczności, że to tylko dziś wyjątkowo. Publiczność zagraniczna siedzi i cmoka nad rumsztykiem z pieczarkami, zasugerowana reklamą lokalu.

Wiele lat temu zarządono, iż każdy lokal musi mieć specjalność. Zbierał się wtedy aktywny i przez głosowanie ustalal: no to cóż jest naszą specjalnością? Barszcz w Jilżance? Dobra. Omlet? Może być. Jajecznicza z kiełbasą? Fajnie. Od tamtej pory w karcie co dzień opisuje się barszcz

(z serią „zup błyskawicznych”, dwa złote turekka), omlet lub jajecznicę. Jeśli się wpisze puzę, to na pewno „dziś wyjątkowo” nie ma. Zarządzeniem zresztą trudno kogoś uczynić specjalistą, nawet „na odcinku” jajeczniczy. Odjajkowano.

Kucharze orbisowsy po zdaniu egzaminu z potraw francuskich i rosyjskich idą pitrasić sznyceł z jajkiem. Szef lokalu z węgierskim zacieciem warzy barszcz z paluszkami: — bo i barszcz z turekki i paluszki z turekki. Tylko kucharz oryginalny. Folklor zapowiadany w prasie sprowadzi się do kogutka z papieru, przyklejonego nad bufetem, przy którym piśe się przemysłowe, długoseryjne czysciocchy pod salatkę śledziową bez śledzi. Na pozycję „specjalność zakładu” w karcie nikt nie myśli patrzeć, to jest pozycja dla kontrolerów z zarządu gastronomii.

Po co więc ten cały w prasie, te sympozja, egzaminy, konkursy, degustacje? Proponuję wydrukować w wielkim nakładzie jadłospis, obejmujący dwadzieścia potraw, i rozesać go wszystkim lokalom w kraju, wszystkich kategorii. Wystarczy każdego dnia skreślić dwańadzie do osiemnastu pozycji i karta zawsze będzie aktualna. Odpadnie konieczność nieczytelnego wypisywania co dzień na nowo, przez karkę, która „nie odbija”, zwłaszcza cen. Nie drukować oczywiście pozycji: specjalność zakładu; to by traćcio ironią, w'est ce pas?

CWIEK.